

Dwutygodnik dla Kobiet

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok II.

— Poznań, 24 czerwca 1882. —

Nr. 20.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Piekary 16. Oplata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do mieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskiem i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja; kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierćrocznie 2 zlr., za co się przesła franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie. Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwulubowego.

GŁOS Z WARSZAWY.*)

Przedewszystkiem, tak mi się zdaje, nie położono u was dotychczas nacisku dostatecznego na dwie najważniejsze gałęzie pracy, jakie od zacnych Polek w Poznańskim wymagają mamy prawo, mianowicie: na pracę około utrzymania ziemi w polskich rękach i pracę około oświaty ludu; a że to są właśnie na dobie będące kwestye, przeto choć nieudolną ręką dorzucam cegiełkę moję w tej nadziei, że myśl, dobro ogółu mająca na celu i pobłażliwie przyjętą zostanie i chętnie wykonawczynie znajdzie.

Minęły czasy bohaterstwa idealnie pojmowanego, dziś przy ciężkich, a smutnych warunkach naszego bytu trzeba się nam zwrócić do praktyki życia, racjonalnie wglądać w jego potrzeby i starać się wszelkimi, możliwymi środkami zaradzić złemu. Taka codzienna, wytrwała a rozumna praca niemniej wymaga od nas bohaterstwa i to nie wyjątkowego, lecz powszechnego, w szranki którego wciągnięty ogół kobiet, potrafiłby na każdej chwili i na każdym miejscu stawić czoło mężne silnemu nieprzyjacielowi, jakim jest żywioł obcy. Tylko w tym ogólnym zakresie nie możemy obyć się bez wyjątkowych przodowniczek, niezaprzeczenie bohaterkami będących, przodowniczek rozumnych a zacnych, któreby się zabrały z całym poświęceniem do dzieła, świeciły przykładem i w różnych gałęziach pracy pociągały za sobą jednostki słabsze, zbiorowo bardzo wiele zdziałać mogące, potrzebujące jednak koniecznie inicjatywy.

Broń, którą posługiwać się mamy z tym wrogiem dla nas żywiołem, powinna być dwójaka: jedna — to czoło oracza uznożone potem, tu praca, wytrwała barona utrzymanie ziemi naszej rodzinnej: druga broń — co mogła zrobić, aca, wspaniała, w górę wznieśiona ku źródłu, zjawdy, a ta jest cywilizacja na podstawie Ekszuszzonej moralności oparta. Silnym bodźcem do... się tej broni

są przerażające cyfry, zacytowane przez p. Żychlińskiego w jednym z tomów „Biblioteki warszawskiej“ — czyż one nie powinny natchnąć nas odwagą i popchnąć na drogę szczerej działalności? Jeśli tak rok po roku ziemia polska przechodzić będzie w obce ręce, jak to nam ciągle pisma donoszą, cóż się stanie z naszą narodowością? na czym ją oprzemy, skoro grunt z pod stóp naszych się usunie? Alboż narodowość nie stanowi język i ziemia? Gdy raz damy je sobie wydrzeć, jakież los tułaczy, oplakany nas czeka? Zaiste, pytanie to pełne grozy, na które odpowiedź mam nadzieję znaleźć w sercach waszych, Polki poznańskie. Wszyscy na gwałt wołają, lecz nikt dotychczas nie odniósł się z tem wołaniem do złotych serc niewieścich, zdolnych do nadludzkich ofiar i wysiłków, tak przy śmiertelnem łożu ukochanych chorych, jak i w krytycznych chwilach zagrożonej ojczyzny. Któż więc i dziś, jeśli nie polskie niewiasty, potrafi ocknąć z apatii i pobudzić do działalności mężów, synów i braci? do kogo, jeśli nie do nich, należy zakrzęsnąć się około umiejętnej a wytrwałej pracy, w tym szlachetnym celu zachowania świętego, domowego ogniska, szarpanego na szmaty? Zadanie to niełatwe, wymaga ono prawdziwie wzniosłego, acz cichego poświęcenia i zaparcia się siebie, wymaga zmodyfikowania zbytków, strojów i zabaw, wymaga zajrzenia rozumnie a głęboko w dziedzinę obowiązku i przyjęcia twardych warunków, jakie on za sobą pociąga.

Zapewne, że my, cośmy tak mało na tem polu zdziałały tu w Królestwie, nie mamy prawa przemawiać i przypominać wam, może od nas zacniejszym, obowiązków waszych, to też ja bynajmniej nie w charakterze krytyki przemawiam, lecz w charakterze zamiany myśli i przekonania we wspólnym tym, tak drogim interesie. „Pozbądźmy się separatyzmu,“ jak woła na nas J. I. Kraszewski i nie uważajmy za coś dla siebie odrębnego oddzielnych prowincyi, przeciwnie, krzepiąc się wzajem, wytykajmy jedni drugim wady, ale z miłością i pobłażaniem.

Że Poznańskie zwraca dziś uwagę ogólną silnie, wynika to stąd, że ono jest strażnicą, której strzedz przede wszystkim należy, gdyż każdy kęs ziemi tam utracony to niepowetowana strata; mając zaś do czynienia z potężnym i cywilizowanym zapaśnikiem, Poznańskie musi urosnąć w olbrzyma, inaczej bowiem olbrzymowi nie podole. Nie

*) Artykuł ten nadesłał nam łaskawie, dołączony w literaturze p. Wacław Aleksander Maciejowski, prawnik i historyk polski, który, znękaný pracą i wiekiem, może sam zasilić pisma naszego, ale wyręczając się szanowną autorką powyższego listu, objawia nam w ten sposób życzliwość swoją i poparcie. Pewni jesteśmy, iż Czytelnicy Dwutygodnika z zajęciem przeczytają słowa trafne i serdeczne, jakie nam ślą bracia z Kraszowej, a choć rzecz nie nowa, odkryje nam może nieznaną lub zapomnianą stronę i powie, co o nas mówią i sądzą patrzący na nas z daleka.

w celu też krytyki (o ile mi się zdaje,) każdy fakt z Poznńskiego pisma nasze podnoszą, lecz z żywego przejęcia się sprawami, uważanymi za wspólne; tą myślą ożywione cieszą się i rozpisują szeroko, oznajmiając nam o większej liczbie wybranych posłów, a smucą upadającym teatrem i każdym sprzedanym kawałkiem ziemi.

Tradycją naszą jest praca około ziemi. Jeśli w imię jej popełniliśmy błąd nie do darowania, a do naprawienia niesłychanie trudny, pozwalając zagarnąć przemysł i handel przybyszom, dla czegoż dziś postępujemy wbrew tejże tradycji, wyzuwając się z taką łatwością z zagród ojczystych? Chodź nam więc o tradycję w pozorach tylko, a nie w rdzennych jej podstawach? Czyż w taki sposób pojmowana tradycja zdoła zacieśnić węzły, rozluźnione podziałem naszej ojczyzny? Po jednostkach, pragnących bądź z potrzeby, bądź też z głębszego zrozumienia istoty rzeczy naprawić błąd praociców, widzimy, z jakim niewypowiedzianym mozołem przechodzi odzyskanie utraconego stanowiska na polu handlowej działalności; to też kapitały nasze spoczywają bezmyślnie w bankach, nie przyczyniając się tem bynajmniej do rozwoju bogactwa krajowego. A jednakże kapitały takie mogłyby znaleźć właściwsze dla siebie umieszczenie w razie, gdyby na przykład potworzyły się towarzystwa, biorące za cel wykupywanie majątków, z których jedne skutkiem złej woli, drugie skutkiem lekkomyślności, ale wiele też skutkiem rzeczywistej biedy, więc niemożności utrzymania ich, w obce ręce przechodzą.

Amelia C.

(Dokończenie nastąpi.)

Do El...y.

Kiedy gorzały lasy ojcyste i Żnicze,
Kiedy strzaskane legły wielkości kolumny,
I stanął smutny naród koło cichej trumny,
Gdzie spoczywały szczątki Polski męczennicze....

Kiedy zamilkły w bólu na widok tej mary
Lutnie, których piastować nie było już komu,
Gdy w sercu nam przybrakło ufności i wiary,
I pieśń ginęła zwolna wśród walk u wyłomu....

Tyś do serca przytulił struny narodowe
I całe skarby uczuć przelał w rzewne tony,
Wiodąc braci w krainy nadziei tęczowe

Z odwagą bohatera, kędy gmach zburzony,
U stóp świętości naszych klękawszy ołtarza,
Wziąłeś chrzest na męczeństwo — na Polski pieśniarza!

Uriela.

Goethe i Bethoven.

Ich zapoznanie się.

W roku 1812 Goethe z porady lekarzy znajdował się w Cieplicach. Jak zwykle wszyscy, poczynający kuracją, spotykał w pierwszych dniach pobytu same nieznajome twarze cisnących się do źródeł zdrowia tem więcej, że pierwszy raz się w tych wodach znajdował. Nazajutrz po przybyciu zaczął pić przepisaną wodę i przechadzał się wszędzie, nie spotykając nigdzie przypadających mu do smaku fizyognomii. Tu starcy i staruszki, jedni się przechadzali, innych na wózkach toczono. Tam przekwitła mama z rozkwitającą córeczką ściągająca oczkowania ciekawych, ówdzie pozbawione już zębów piękności przesuw-

wały się smętne, wzdychając, że niedobra przyroda nie otworzyła dla nich odmłodnieniem wytryskującego źródła z któregoby do syta czerpać mogły. Oto wszystko, na co Goethe dotąd patrzeć musiał, kiedy razu pewnego w jednej z alei dostrzegł na ławie człowieka, zajętego ciąglem pisanem okółkiem na papierze, któremu pulares za podkładkę posługiwał. Piszący był w średnim wieku, nie pięknej twarzy co do rysów, ale idealnie promieniejącej geniuszem — który w wysoko sklepieniem, pełnem myśli czole widocznie musiał obrać mieszkanie; wielką głowę pokrywały bujne, z siwizną pomieszanym ciemne włosy do łwiej grzywy dosyć podobne; przy tych wszystkich szczegółach właściciel tej głowy, przedstawiał się oczom patrzących, jakby z marmuru wykutym, lub ulanym z spiżu posągim. „Niezwyczajny to człowiek, rzekł Goethe do siebie. takim tylko może być twórca obfitych i wielkich pomysłów.“ — W tej chwili tuż obok nich padł strzał do sejmikujących w środku drzew owocowych wróbli. Wykrzyk przestrasza wybiegł z ust niewieści, mężczyźni obejrzeli się na tę niespodziankę; piszący tylko na ławce pozostał bez ruchu, żaden muszkuł w nim się nie poruszył, Goethe więc zawnioskował, że albo był tak w pracy zatopiony, lub chyba głuchotą dotknięty. Zapytał o jego nazwisko jednego z przechadzających się, ale ten wytłumaczył się nieświadomością w tym względzie, jako wczoraj dopiero przybyły. Zobaczmy, mówił do siebie Goethe, może lista gości w tem mię objaśni i zaraz w pobliskiej budce z książkami zakupił żadaną listę. Już przebiegł prawie całą, kiedy naraz imię Bethovena go uderzyło. Bethoven! wykrzyknął, nieznajomy człowiek ten musi być Bethovenem! ale wtem jednocześnie nasunęła mu się uwaga, że jeżeli rzeczywiście był głuchym, mógłże to być Bethoven, mógłby bogowie dotknąć głuchotą twórcę tak boskich melodyi? — Powrócił do miejsca, gdzie nieznajomy siedział i teraz ujrzał stojącą przy nim osobę, która w przechodzie, snąc, udzieliła mu dobrą jakąś wiadomość, bo radośny uśmiech zabłysł mu na twarzy; odłożył na bok pisanie i zaczął się bacznie, jakby kogo śledząc, w przechodzących wpatrywać.

Goethe przybliżał się i bystrym wzrokiem dostrzegł w notatach nieznajomego liczby, noty i znaki muzyczne. Niewątpliwie to Bethoven być musi! postąpił dalej parę kroków, nieznajomy podniósł się... powiódł badawczy wzrok po przechodzącym i z wykrzykiem wzajemnym: „Goethe!“ „Bethoven!“ dwa wielkie geniusze wieku rzucili się sobie w objęcia.

Goethe wyrzekł wyrazy serdecznej czci dla wielkiego tonów władcy, ale ten, pokazując na ucho, zawołał: głośniej! głośniej! nic nie rozumiem! — Więc głuchy! rzeczywiście głuchy! zawołał Goethe z głębokim rozczuleniem i teraz całą siłą płuc krzyczał mu w ucho: Jakże to możliwe, maestro, że przy takiej ułomności możesz wytwarzać muzykę, jakby ci ją chóry anielskie śpiewały? — Tak też być musi w istocie, bo słyszę tylko uchem duszy, odrzekł smutno Bethoven i wydobył z kieszeni trąbkę przyłożył do prawego ucha, aby wzajemną ułatwić rozmowę.

— Uszy moje, mówił dalej, są niestety murem, zpoza którego przyjazne niełatwo mię dochodzi słowo. Jestem też w towarzystwie, jak ryba na piasku, tarzam się, rzucam na wszystkie strony, dopóki jaka litościwa Galatea w burzliwym żywiole nie pocięży.

— Róć tegoż, czyż nie ułomność?... wyrzekł Goethe z głuchym, Nat... społecznym.

— Beth... może lat 12 jak zacząłem zauważać, iż mi słuch tępieje. Długo czekałem wiele gorczy, wycierpiałem wiele, panie radcy, hr... za bary z lotru „wami tego świata, ale nie tak ciężko, w... nie napoiło mnie go... jak utrata słuchu. Muzykiem by... to srogi... to boleśnie! mówiąc to, ręce... zalał na czole i ciężko westchnął. — I żadnego na to... środka? rzekł Goethe po krótkiej pauzie. — Żadnego, najznakomitsi lekarze naukę swoją na mnie wyczerpali, napróżno wzywał porady najslawniejszych między nimi, nie różniom wzywał porady najslawniejszych. Umieję ja po... mogli mi tego powrócić, co Bóg mi odjął. Lecz znoś cierpienia, ale nieraz już myślałem skrócić sobie to nędzne życie, czytanie tylko Plu-

archa powstrzymało mnie od tego rozpaczliwego zamiaru. Tak znoszę to, czego odmienić nie mogę, ale sam powiedz, czemuż jest kompozytor, jeśli własnych tonów słyszeć nie może? gorzej stokroć dotknięty niż ciemnotą, bo z tą przynajmniej może brać udział w rozmowie, w ślepym nie zamiera życia, jak w głuchym. Głuchy w towarzystwie ludzi jest chodzącym trupem.

— Jakto? rzeczywiście mniemasz, rzekł Goethe, że lepiej być ślepym, niż głuchym?

— Rzeczywiście tak myślę, bo ślepy wśród ludzi żyje człowiekiem, dzieli się z nimi radością i smutkiem, ale być głuchym jak pień... (a to ze mną będzie, nim jeszcze trochę wody w Dunaju upłynie) jest to być sobie i innym ciężarem, śmiesznym nawet, a być muzykiem i wypchniętym z edenu harmonii — to męka, o jakiej Dante w swem nie marzył piekle. Nieraz przychodzi mi na myśl głowę schować w worek, żebym, jeśli już słyszeć nie mogę, niedorzeczności tego świata również nie oglądał. Przy tych słowach spuścił głowę na piersi, zakrył rękoma oczy, z których silne, pracujące we wszystkich rysach twarzy udręczenie parę łez wyszło. Po małej chwili Goethe rękę mu na ramieniu łagodnie położył. Bethoven drgnął, twarz z wolna odsłonił, bładą, jakby z marmuru wykutą, spojrzął na Goethego pytającym wzrokiem i trąbkę znowu do ucha przyłożył.

— Czyś pan żonaty? zapytał z tklivem współczuciem. Bethoven smutnie głową potrząsnął: — Nie! takie szczęście nie jest mym udziałem.

— I nie kochałeś nigdy?

— Kochać?... o! zawołał z wzrokiem natchnionym, kto raz moję Adelajdę śpiewaną słyszał, może ten nie uczuć, że kochać musiałem?... Tak jest! kochałem, kocham i kochać jeszcze będę, ale gwiazdy moje za wysoko nade mną, ażeby do nich się dostać zdołał.

— Nie mógłbyś ich czem innem zastąpić?... w twojem, panie, położeniu piecza tkliviego serca kobiety najpożądańszaby była.

— Tak jest, prawda, ale Bethoven nie pojmuje małżeństwa bez miłości. Lecz mówmy o czem innym.

Podniósł rękę ku czołu, jakby dla odpędzenia natrętnego owadu i westchnął głęboko. Goethego wewnętrzne, nieklamane wzruszenie oddziaływać zaczęło na mistrza harmonii i całe jego serce dla poety bić zaczęło. Zimny i zamknięty w sobie zwyczajnie, tak jak teraz otwartym i serdecznym nie okazał się dla nikogo od lat wielu. Po chwili milczenia zapytał Goethe, czy już dał się słyszeć w Cieplicach.

— Nie grałem i grać nie będę. Spytaj pan tylko, a każdy Wiedeńczyk ci powie: „Bethoven jest dziwak, nawet grubianin przytem, są rzeczy, których znieść nie może, a jeśli mu one w drogę zajdą, staje się gburem i ucieka, bo w jego naturze nie ma na jotę dworactwa.“ Wzruszony okazywanem mu ciągle przez poetę współczuciem, muzyk ciągnął dalej: Opowiem panu, co mi się raz wydarzyło:

Byłem wówczas dobrze z rodziną książąt L. Miałem mieszkanie i stół w pałacu i traktowano mię jak syna. Grywałem u nich na wieczorach. Razu pewnego, kiedym właśnie nazywał mój utwór, a wówczas słyszałem jeszcze — Klara, kameryera hrabiczów z pewnością bez serca i ducha pani! — zawołała baronówna z niecierpiącą kłopotliwą, zrezygnowaną, co mogła zrobić, na kazującym milczącym spojrzeniem dla waszej Ekscelencji i nie ustawał, porwał się do drzwi, a ty wzorem kameryery — przednie, iż zamknąłem i ze słowami: „koniec stoju na równi.“ cały zaperzony wybiegł od prawdy — powiedział chany maestro.

— O, tej zam Ekscelencyo! powiedziała mi już Bethoven, wyzwał i tylko przywiązanie do pani... a dalej hałas towarzyszy, powiedziałaś mi walczyć. Poświe może mi w grze przez a ty wzorem kameryery — przednie, iż ko mogę, występniczną powagą. Dzisiaj więc ubi, ile tyl-

— Dotkliwym.

Goethe, że

widzę się pozbawionym przyjemności, jaką się z usłyszenia gry wielkiego mistrza harmonii cieszyłem przedwcześnie.

— Nie! tego nie będziesz pan pozbawionym! zawołał maestro z żywością, dla ciebie będę grał tyle, i o każdym czasie, ile sobie życzysz. Chodźmy do mnie! do hotelu, fortepian z dołu do siebie zaraz przynieść każę. Goethe Bethovena słyszeć musi. — Z temi słowy podniósł się, zwinął swoje notaty i pociągnął Goethego, który z równym towarzyszył mu pospiechem. Bethoven grał przez dwie godziny mistrzowskie swoje i obce utwory, a gdy Goethe po skończonej grze wyraził mu swe uwielbienie:

— Sposób, w jakim sąd twój o mnie wyrażasz, rzekł maestro, podoba mi się! równy równego sobie umysłem słuchać powinien, wzruszenie dobre dla kobiet, a zapał męza dla muzyki z oczu tryskać musi.

Goethe uściśnął mu dłoń z zapalem.

— Jesteś potęgą w muzyce! zdaje mi się, jakby nas obu było powołaniem zyskać poklask i uznanie świata.

— Tak też jest, jeżeli do zdobycia tego uznania wydajemy się tem, czem świat uznać nas żąda, nie jest on zawsze niesprawiedliwy, ale pomnij moje słowo, że Bethovena dopiero wtenczas ocenią, kiedy już długo w grobie gnić będzie.

Tak żyli dwaj wielcy ludzie, coraz ściślej z sobą spójnieni. Goethe zachwycony przysłuchiwa się całe godziny grze mistrza, pod którego palcami dopiero teraz muzykę w całej boskości pojmował, w niebiańskie dźwięki zdawała się dusza ich twórcy przelewać. Kiedy wreszcie wysiłony natchnieniem chciał odpocząć, wychodzili obaj na przechadzkę podziwiać piękności natury. Tu, w zachwycie nad niemi, to sobie wzajemnie wzniosłych udzielali myśli, to jak dwaj najlepsi przyjaciele poufną zabawiali się rozmową. Czasami Bethoven nagle przystanął, wskazując piękniejsze widoki, ale wkrótce cały w dumanie utonął, nuciąc sobie coś niezrozumiałego. Razu pewnego, kiedy wybierali się na przechadzkę, listowy dla maestro list przyniósł. Bethoven obejrzawszy adres, list na stoliku położył.

— Przeczytam go wieczorem, będę miał czem nacieszyć się, bo dużo tam orzeźwiającego, rozweselającego będzie dla mnie.

Goethe rzuciwszy okiem na list, rzekł: — Pismo to mi nieobce.

— Ach! przedziwnie, odrzekł Bethoven, list jest od p. Arnim.

— Od Bettiny?

— Od niej samej.

— Więc znasz ją?

— Od lat już kilku. Ale chodź, opowiem ci w drodze, jakem z nią zabrał znajomość. — I z ręką pod ręką dwaj wielcy ludzie na górką wyszli przechadzkę.

— Trzy lub 4 lata temu, zaczął opowiadanie Bethoven, przybyła do Wiednia, gdzie brat jej mieszka. Ja, wówczas dla mej głuchoty unikając towarzystwa, miałem kilka rozmaitych mieszkań, jedno mianowicie w Modling, w największej tajemnicy; prócz tego, chcąc żyć tylko dla sztuki, zamykałem się przed ludźmi, dziś tu, jutro gdzieindziej dzień spędzając. Nie zraziła się wcale Bettina temi trudnościami, pomyślała, pomyślała, aż nareszcie raz jednego dostała się do mego pokoju w czasie, kiedy siedziałem u fortepianu. Rzuciwszy kapelusz i szal na ziemię, stanęła za mną krzesłem i, jak mi sama później mówiła, całe dwie godziny zatopiona w muzyce słuchała. Wezbranych uczuć dłużej pohamować nie mogąc, rzuca mi się na szyję, ściskając i całując wśród śmiechu i łez mnie, głuchemu, kładzie na głowę wieniec, który z sobą przyniosła.

— Tak! tak! widzę w tem zupełnie Bettinę, dorzucił Goethe.

— Zrazu przestraszyło mię prawdziwie to zjawisko w białej sukni, burzonemu przez parę chwil zdało mi się widzieć w nieśztukę harmonii z niebios zstępującą; kiedy mi opowiedziała, jakich niezmiernych zażyła trudności w odszukaniu mnie i ileby na tem ucierpiała, gdyby, będącej w Wiedniu, udało się tego dokonać... słowem,

tak mię ujęła, tyle mi miłych słówek nakrzyczała w ucho, iż zdawało mi się, że znowu w najprzyjemniejsze chwile życia mego znalazł się przeniesionym. Tymczasem wprzód, zanim się rozpatrzyć zdołałem, już mi wtoczyła na głowę kapelusz i z sobą do swych krewnych porwała. Zastaliśmy tam towarzystwo u stołu, kończące obiad. Bettina na zapytanie, gdzie tak długo bawiła i czekać za sobą kazała, krzyknęła: „Cicho! przyprowadzam tu wam Bethovena, to będzie dla was deserem, jakiegoście dotąd nie kosztowali.“ Przyniesiono dla nas obojga obiad; z tego wszystkiego zjadłem tylko forellę, którą namiętnie lubię. Po obiedzie zasiadłem do fortepianu i grałem z Mesyasa Händla, bo Händel jest najznakomitszym kompozytorem. Tak uprzejmie ludzom parę godzin, za które mi wdzięcznymi pozostali. Towarzystwo Bettiny niejedną piękną myśl mi natchnęło, którą wpłotłem w moje utwory. Grała przede mną i fantazyowała, ale brzydkim układem ręki i palców dziobała raczej po klawiszach, niż grała.

Tak rozmawiając, doszli do wierzchołka góry, gdzie nasyciwszy wzrok i duszę pysznymi widokami, zasiedli do skromnej uczty. Göthe dobył butelkę Burgunda i kubek skórzany. Bethoven rozwinął z papieru butters znyty. Zaledwie tę przyjacielską skończyli biesiadę, kiedy Bethoven wskazując na gazetę, w której przyniósł szynkę z chlebem, rzekł: — Teraz Napoleon jest już z swoją armią na drodze do Rosyi, tam, pomnij na moje słowa tam go los jego dosięgnie.

— Nie jesteś zapewne przyjacielem cesarza Francuzów? zagadnął Göthe.

— Na całej ziemi, odrzekł Bethoven z pałającym wzrokiem, nie było może człowieka, któryby go więcej, jak ja, czcił i kochał, dopóki mniemał, że jest republikaninem; po nim to wyczekiwałem wielkości Francyi i zbawienia ludzkości. W młodzieńczem jeszcze natchnieniu skomponowałem dla niego Symfonią, dzieło, które, jako najwięcej wykończone i najlepszej weny, pomiędzy utworami moimi najwyższej cenie. Już była pięknie przepisana, już z kaligraficznymi ozdobami dedykacją miałem gotową, kiedy jeden z mych przyjaciół przyniósł mi najświeższy numer gazety, a z nią wiadomość: „Napoleon ogłosił się cesarzem.“ To mię z nóg ścięło. Symfonia była ofiarową 1-mu konsulowi, teraz ją w ogień wrzucić chciałem, ale po chwili rozmyślu tytuł tylko rozdarłem. Jest to w późniejszym druku moja Symfonia eroica. Od tej chwili jestem najzaciętszym Napoleona nieprzyjacielem i życzę mu wszelkiego złego.

— Szczególna rzecz, odrzekł Göthe, że mną rzecz ma się wprost przeciwnie, nienawidziłem go, póki go nie poznałem, ale od chwili, kiedy w rozmowie z nim odczułem w sobie urok, jaki na umysły wszystkich umie wywierać, od tej chwili nauczyłem się oceniać jego wielkość i należeć do najszczerzszych jego wielbicieli.

Bethoven niezadowolony potrząsnął głową, obaj wpadli w długie rozmyślenia nad władzącym Europą kolosem.

W powrocie maestro z gorącą zdjął frak i na kiju go powiesiwszy, tak przybrany ku miastu dążył. Dotarli już wielkiej promenady, kiedy Göthe zwrócił jego uwagę, że czas był ubrania. — Bethoven głową potrząsnął.

— Na miłość boską, Bethovenie, wołał Göthe, ubierz się, rodzina cesarska tu idzie.

— A mnie co to, u kata, obchodzi? znają cię Bethovena, arcyksiążę Rudolf jest moim uczniem.

Tymczasem nadchodziła cesarska czereda. Skoczył od Bethovena i na stronie się ustawił. — Ten wołał na niego: Zostań tu! nie wyciągaj się jak przy murze; idź ze mną spokojnie! — Prózne były te nawoływania. Bethoven gniewny nacisnął kapelusza i niosąc frak z kijem na ramieniu, szedł wprost napośród cesarskiego dworu. Książęta i dworzanie zobili mu drogę. Arcyksiążę Rudolf zdjął przed nim kapelusz, cesarzowa naprzód go pozdrowiła, a potem z usmiechem przyjaźnie kiwnęła ręką. I tak Bethoven przez ten tłum przeszedłszy, dostrzegł, jak dostojna prosya przeszła obok wyprostowanego i z odkrytą głową szalego Göthego, któ-

rego nikt z orszaku nie zauważył nawet. Bethoven czekał aż do niego powróci.

— I cóżes zyskał? zawołał opryskliwie, z twoją pokorną czołobitnością? Trzeba ci było tak zrobić, jak ja. Wielkim panom trzeba imponować, inaczej za nic cię będą mieli.

— Nie, tego nie zrobię, rzekł Göthe, codziennie z książętami obcujać, wiem, jak się z nimi powinno obchodzić.

— Ba! zawołał Bethoven, królowie i książęta mogą robić profesorami, tajnymi radcami, tytułami i orderami obsypać, ale wielkich ludzi przy całej swej potędze nie zdołają stworzyć, nie w ich obrębach władza tworzenia geniuszów się mieści.

K. Faleński.

BRACIA CIOTECZNI.

Przekład z języka włoskiego.

(Ciąg dalszy.)

XIV.

Zrobimy w naszym opowiadaniu małe zboczenie, aby się przenieść na chwilę do eleganckiego buduaru baronówny di Rosedas, buduaru, który nazajutrz po hucznym balu, przedstawiał obraz godny pędzla rodzajowego malarza. Spinki, kwiaty, brylanty, rozrzucone w harmonijnym nieładzie po krzesłach i konsolkach, błyszczały wśród mgły gazy i koronek pysznych. W pokoju nie było nikogo, po chwili jednak bielutka rączka poruszyła adamaszkową portyerę, i prześliczna dziewczyna w ubraniu rannem rzuciła się niedbale w krzesło przed lustrem, pozostając chwilę zachwycona własnym obrazem, odbitym w kryształach. Cudniebo też były to kształty; postawa Heby greckiej, twarz świeżością przypominała chyba różę wiosenne w pierwszym rozkwicie, duże, czarne oczy błyszczały jak dwa dyamenty z pod jedwabnej rzęsy, włos czarny, kręcony, w niesfornych pierścieniach spadał na alabastrowe ramiona. Wyraz jakiejś rzewnej, głębokiej radości błyszczał w całej twarzy.

Myślą przebiegała sceny z balu, a właściwie scenę jedną, która jej jasnym uśmiechem promieniła usta. A przecież ten bal na cel dobroczynny, co zaledwie kilkanaście osób zgromadził, nie był ani pierwszym, ani najświetniejszym, na którym błyszczała młoda, piękna Matylda di Rosedas, bożyszcze eleganckiego świata. Na szczęście przecież swoje umysł jej wyższy potrafił wyróżnić spośród hołdów bezmyślnych to słowo wymowne, choć proste, w które spływa życie serca. To słowo, najśłodsze dla każdej kobiety, usłyszała. Matylda po raz pierwszy, i to z ust takich, które nie znoszą udania i kłamstwa. Serce jej biło zatem pod wrażeniem pierwszej, najszlachetniejszej miłości.

Karol Delorme łączył w sobie wszystkie przymioty szlachetnego serca, wielkiego umysłu, nieposiadającego charakteru, filozof, literat, poeta, tarzan, antrop, byt, który żył dla siebie.

Pięknym nie był, ale na

rocz tego rozwinął z gąłach, Natalia Suż ciepie ułomnie żywało z upodobaniem z gąłach, Natalia Suż ciepie ułomnie żywało z upodobaniem

— Bóg, póleżuciem.

mi słuch te, że może lat 12 już w serce, jakiś promień

która tryu, k ciebie, w dem za bal, ach i festynach, zliczyć

by naważa mo, kiem by, nie napoiło mi, myśleć inni, ona tak

nie myśl, ręce, żyć i głuchym... to, ajomości zdobył jej

żywą syńcej, na to, zalamal na czole, a z swoboda roz-

koszną, mo, naj, srodka? rzekł Goethe po, ajrańszych latek

kilka słowna, nap, znakomitsi lekarze naukę, przedwcześnie

śmierci jej ma, nie, óżnom wzywał porady, das Te odkrycia

wyrodzili w, o, e mogli mi tego powrócić, zimne i obojętne

usposobienie, ied, Inezku znosić cierpienia, ak, ało. Małżka Ma-

sobie to nędzne życie, c, ało. Małżka Ma-

tyłda żywym była portretem matki, tylko usposobienie łagodne dziewczynki nie przypominało żywej i gwałtownej Dolorydy. Powierzona staraniom wiejskiej mamki, przepędziła złote latka w chacie szwajcarskiej; dziesięcioletnie dziewczę powróciło do domu ojca, do Francji, na kilka miesięcy zaledwo.

Pod dozorem starej nauczycielki, niewciążniona w żaden system pracy i nauk, przepędzała całe godziny w osamotnionej bibliotece, wpatrzona w obraz swojej biednej matki. W smutnej tej twarzy gorąca wyobraźnia dziewczynki czytała całą historią zawodów i męczeństwa. — Bez żalu widziała się po raz drugi oddaloną od ojca i umieszczoną na pensyi, która była doskonałym wzorem edukacji najmodniejszej. — Kiedy wreszcie w świat weszła, znalazła uśmiechy i pieśczęty, kwiaty i kadzidła, ale szczerości i uczucia nigdzie. Serce Karola było pierwsze, jedyne, które jej się otwarło, nie dziw, że nie zbadawszy nawet wszystkich jego skarbów, czuła się niem bogatą, szczęśliwą.

Trudniejszym do zrobienia był wybór jego. Karol nie łatwo się dał pociągać czarowi zewnętrznych wdzięków, a tem mniej widokom bogatego wiana młodzieńczej baronówny; ale serce ma tyle tajemnic! Poznawszy piękność głośną w domu swojej ciotki w Vichy, podziwiał ją z tym zapalem, który budziło w niem wszystko, co piękne, ale nie więcej. Potem na prośbę markizy towarzyszył często dwom paniom w wycieczkach za miasto, z niesłychanym wdziękiem wypełniał zadanie cyserona, co mu nadarzało sposobność poznawania zdrowego sądu i inteligencji młodej podróźnej z uwag, któremi przerywała jego uczone poglądy. Jednego dnia wreszcie, już po powrocie do kraju, przyszedł, aby poruszyć serce swej bogatej ciotki losem trzech sierót, których niedolę gorącemi odmalował słowy.

Prawda, że markiza słuchała go obojętnie, ale za to twarz Matyldy bladła, smutniała, aż piękne dziewczę zalane łzami zawołało głosem, który mu nigdy nie wydał się tak wdzięcznym: — Mój Boże! czy podobna! taka nędza!... A równocześnie zdjęła z szyi bogaty medalion z brylantami, prosząc pana Karola, aby spieniężył i wartość jego oddał sierotom. Medalion nie poszedł na wzbogacenie sklepów jubilera, ale wartość jego doszła wiernie biedaków.

Matylda, która odtąd zajmowała się gorąco biednymi, wyczerpnawszy wszelkie środki, kwesty, loterye, podszepnęła myśl tego balu dobroczynnego i skłoniła starą damę do ustąpienia na ten cel bogatych apartamentów i poniesienia kosztów. Wspaniały festyn dał sposobność zbliżenia serc — obojgu zabłysło życie światłem nowem.

W tych słodkich marzeniach pogrążona Matylda nieprędko podniósłszy oczy na zegar, spostrzegła wskazówkę na godzinie pierwszej. Podniosła się spiesznie, pociągnęła sznur dzwonka, a za parę chwil wchodziła do pokoju stara kameryera z miną uroczystą.

— Jakże więc? co robi Ida? ... spytała młoda elegantka z niecierpliwością.

— E, biedaczka! — odpowiedziała stara z udanem politowaniem, — żal mi jej, ale zanadto już z nią mieliśmy cierpliwości, wytrzymać nie było można dłużej.

Aby wytłomaczyć ton poufały Betiny, panny Betiny, jak się nazywać kazała, trzeba dodać, że stara pod skromnym tytułem kameryery była w domem markizy prawie absolutnie.

— Biedne dziecko! — zawołała baronówna z niecierpieniem, taka pilna, zreżna, co mogła zrobić, żeby ją oddać?

— Była bez szacunku dla waszej Ekscelencji i nie mogła mnie. Proszę sobie wyobrazić, że ona... — powiedziała Matylda, iż ja i ona koniec końcem stoimy na równi.

— No, to nie odbiega od prawdy. — powiedziała Matylda ze śmiechem.

— Przepraszam Ekscelencję! powiedziałam już pewno, że to nie mój zawód i tylko przywiązanie do pani...

— Powiedziałaś, powiedziałaś, ani wątpić. Poświęcenie twoje wielkie, a ty wzorem kameryery — przerwała Matylda z ironiczną powagą. Dzisiaj więc ubiorę się sama.

— Jak pani zechce, mam tylko polecenie przypomnieć, że dziś na obiedzie będzie siostrzeniec pani markizy.

— Czy tak?... odpowiedziała z pewnym niepokojem rzuciwszy jednak przelotne spojrzenie w lustro, odprawiła służę.

— On lubi prostotę — szepnęła z uśmiechem.

Za chwilę wchodziła Matylda do salonu, w którym markiza rozpostarta na sofie wyrzekała na wszystkich i wszystko, a głównie na swoje choroby nerwowe i lekarzy, że im zaradzić nie umieli.

Niedługo dał się słyszeć krok lekki i Karol wszedł do pokoju, ścisnął rękę ciotki, skłonił się pannie i zawołał weselo:

— Dużo, dużo dziś mamy do mówienia!

— Będzie czasu dosyć na wszystko. Mówmy wprawo o tem, co najważniejsze. Dostałeś mój bilet?

— Spodziewam się, ciociu — odparł żywo młodzieniec, jemu zawdzięczam, że parę chwil spędzę w najmielszym mi towarzystwie.

— Sypiesz komplementami, ale wracajmy do rzeczy, nie mi nie przynosisz?

— Wszystko możliwe, ciociu, nową towarzyszkę dla panny Matyldy wynalazłem doskonałą, jutro się przedstawi i załatwisz resztę.

— No, no, nie tak prędko — powtarzała markiza, znaleziona, przedstawiona... to się łatwo wymówi. U was młodych to wszystko jak wiatr prędkie a tu trzeba rozmysłu, poznanie charakteru, przymiotów osoby.

— Pewno! ależ i moje polecenie coś znaczy, jest pocziwa, pobożna, dobrze wychowana...

— Dosyć, dosyć, przerwała niecierpliwie stara pani, twój sąd nie zda się na wiele. Ty, gdyby można, kanonizowałbyś nawet włóczęgów z domu poprawy.

— I tamby się znaleźli tacy, co tego warci.

Rozpoczęły się narady o towarzyszkę, do których z zwykłą arogancją mieszała się Betina. Wreszcie ku wielkiemu zadowoleniu mogli młodzi przejść na inny temat. Karol mówił dziewczę o swoich sierotach, o biednych i o szkole z zapalem, spotęgowanym miłością. Matylda całą duszą dzieliła jego szlachetne myśli i marzenia. Oznajmiono obiad, markiza powstała, i uderzając ramię siostrzeńca:

— To prawdziwa monomania, wyrzekła, którą chyba energiczna uleczy żona.

— Jeśli się sama nie zarazi — uśmiechnął się Karol, podając ramię zapłonionej Matyldzie.

XV.

Jesteśmy znowu w mieszkaniu Grzegorza, który po wypadkach opisanej nocy był znacznie spokojniejszy, nie wpadał w dawne uniesienia i fure, ale za to okazywał się często przyciśniony, zgnębiony moralnie. Julia przetrząsała wszystkie kąty domu, aby odnaleźć coś z ksiązek zasobnej niegdyś biblioteki, która jednak podczas więzienia i choroby Grzegorza przeszła za cenę srebra na własność antykwarjusza. Z wielką biedą wyciągnęła gdzieś z pyłu kilka powieści Manzoni i ocalony kawał Biblii, a z Florencji przywiozła „Naśladowanie Chrystusa.” To stanowiło cały zbiór dzieł, które z nadzwyczajnym talentem urozmaicało długie i monotonne godziny ciemnemu ojcu. Parę ksiązek jezuickich, co szczególnym trafem uszły ogólnej grabieży, w domu for. a myślą uczenia się po angielsku od ojca, która była za m. to nowem ożywieniem umysłu; za kilka tygodni dwie godziny zkoszować się wdziękiem ojczystej mowy swej ucząc córkę w tym samym języku, w którym ona pieściła go niegdyś: moje dziecko, mój skarbie, moje kochanie...

Staraniem Julii stosunki rodzinne poczęły się nieco ucierać, zmieniać na lepsze; między rodzicami szczególnie nastąpiło maleńkie zbliżenie, maleńkie, ale ważne, jak każdy krok pierwszy.

Coraz śmielsza stopniowo, wtrącała dnia jednego, jakby od niechcenia, słów kilka o naprawie częściowej złego. Uniósł się Grzegorz.

— Co? zawołał drżąc cały, po tem, co ci opowiadałem

po tem, co własnymi widziała oczami, możesz mi proponować, abym ją przeproszał?

— Któż o tem mówi?

— Cóż więc myślałaś?

— Myślałam, że tak... od niechcenia... mógłbyś czasem, albo ja wiem... zwrócić się do niej z jakim słówkiem, pozwolić, aby ci w czem usłużyła...

— Rozumiem... przerwał z żalem nieszczęśliwy — zaczynam cię męczyć.

— Ojcie! ojcie! od ciebie słowa takie? od ciebie?... wołała Julia, dotknięta boleśnie.

Wtedy Grzegorz przerażony i drżący:

— Przebacz mi! błagał, o! przebacz! Niewdzięcznik jestem! Gdybyś wymagała mego życia, dałbym ci powinien, bo je tobie zawdzięczam!

— A przecież wymagam tak mało, nalegało dziewczę tonem rzewnej wymówki.

— Nie, Julio, nie odmawiam ci niczego, jakżebyś mógł inaczej.

— Więc mi przyrzekasz, ojcie?

— Tak, gdy się sposobność nadarzy, byle mi sił stało.

— Julia rzuciła mu się na szyję, płacząc z wdzięczności i zadowolenia

Sposobność nadarzyła się prędzej, niżby Grzegorz był pragnął. Tego samego dnia o godzinie obiadowej Julia mówiła mu z słodyczą: — Mam do szycia koszulkę dla Menikuczia, biedny chłopiec potrzebuje jej bardzo. Zostałabym z robotą przy tobie, jeśli pozwolisz, ojcie... żeby ci mama przygotowała jedzenie.

Westchnął Grzegorz i odparł z wysileniem:

— Rób, jak zechcesz, ale nie pytaj, czy mi to zarówno.

— Biedny mój ojcie! — dodała Julia z czułością, myślałam się, mówiąc, że to małe poświęcenie, jest ono rzeczywiście wielkie, ale tem lepiej podług niego mogę mierzyć miłość twoją ku Bogu i ku mnie.

Pobiegła do kuchni i z przymileniem przedstawiła matce swoją małą prośbę. Od czasu owej wizyty u wuja, której wpływowi przypisywała Julia tę drogą zmianę, nie było dawnych zaczepki męża, udręceń córki. Pomimo to Julia nie spodziewała się takiej względności.

— Zrobię to chętnie, była odpowiedź kobiety — i nie po raz pierwszy pewno. Chciałabym tylko, aby mi nie zrobił jakiej sceny.

— Bądź spokojna, kochana mamo, — odparła żywo Julia. Był rozdrażniony chorobą, ale teraz, kiedy mu lepiej, jest nierównie spokojniejszy.

— To prawda, te pigułki mu pomogły, można powiedzieć, że jest wyleczony. — Muszę jako dziękczynienie zanieść świecę na ołtarz Madonny, jak to sobie postanowiłam.

— Rzeczywiście? moja droga mamo! — zawołała Julia, nie posiadając się z radości. Więc i ty jesteś zadowolona z tego?

— Pewno cię to dziwi po wszystkiemu, co widziałas; ale, jak chcesz, jestem chrześcianką, źle nie żyć nikomu. — No idź, gdy przygotuję, przyjdę tam zaraz.

Julia powróciła do ojca, opowiedziała rozmowę z matką, a opuszczając słowa drażliwe, położyła przycisk na ofiarę świec.

— Trzebaby je zapalić dla ciebie, święta moja, co rzeczywiście dokazałaś cudu — odpowiedział Grzegorz z rzewnym uśmiechem.

Nadeszła Rozalia i rozpostarłszy czystą serwetę na małym stoliku, postawiła potrawy skromne, ale posilne i delikatne, które Julia zwykle sama z takim staraniem przyrządzała.

— A tutaj co? spytało dziewczę, unosząc liść, którym był talerzyk przykryty. — Ach! świeże truskawki, które tak lubisz, ojcie, prawda?

— Tak, odpowiedział, a Rozalia zwracając się do córki, dodała:

— Wiedziałam o tem i kiedy mi je Nanella przyniosła, schowałam umyślnie dla niego.

— To więc przysmaczek od mamy, — powiedziała Julia, dotykając lekko ramienia ojca.

— Dziękuję, dziękuję... poszepnął Grzegorz nie bez cienia niechęci, pomimo to Julia była uradowana, jakby już jedną ręką dotykała nieba.

Na nalegania Julii pozostała matka jeszcze dobry kwadrans w pokoju chorego. Dnia następnego przyszła znowu, aby zmienić bieliznę na łóżku i pozostała sama w pokoju, podczas kiedy Julia w przyległej salce szeptała do ucha Gwidowi:

— Przełamane pierwsze lody, Bogu dzięki.

Gwido jednakże był daleki od podzielenia rzewnych złudzeń siostry, która znów nie umiała zdać sobie sprawy z tego, że się mógł na jej słowa zachmurzyć; a kiedy powracając na stanowisko, usłyszała szepejące z westchnieniem: Biedne, biedne dziewczę! — Julia westchnęła także, powtarzając: biedny Gwido! — ale nie nie wzbudzało jej podejrzenia. — W latach osmnastu podejrzawać tak trudno!

Zbliżyła się wigilia Bożego Narodzenia; od lat niepamiętnych Grzegorz po raz pierwszy zasiadł przy stole rodzinnym do wieczerzy, a chociaż nie jadł prawie, brał udział w rozmowie, którą Julia z prawdziwą sztuką ożywić potrafiła. Grzegorz mówił z spokojem, Rozalia obojętnie, Menikucio świegotał jak ptaszek, a dziewczę z twarzą rozpromienioną zdawało się odżywiać tym promykiem nadziei, co jej świecił z oczu. Gwido jeden siedział nachmurzony, niespokojny. Po wieczerzy Grzegorz odszedł do swego pokoju, Julia rozpoczęła mu czytanie, które wnet przerwała stojąca we drzwiach matka; skinieniem wzywała córkę do siebie. Julia odłożyła książkę, przeprosiła ojca i wyszła. Wzięła ją za rękę matka, poprowadziła do swego pokoju i zamykając starannie drzwi za sobą, poczęła z miną uroczystą:

— Usiądźmy, muszę z tobą pomówić poważnie.

— Słucham cię, mamo.

— Wiem, Julio moja, żeś dzieckiem dobrem i roztropnem; jeśli cię w pierwszych chwilach sądziłam inaczej, nie znalazłam cię dostatecznie, omyliłam się i przeproszam cię za to, dziecię moje.

— Zlituj się, mamo!... zawołało pomieszane dziewczę — jabym cię przeproszać powinna, jeśli kiedy, niechając...

— Przestań, przestań, nie myślmy o przeszłości. Wróćmy do tego, co jest teraz. Twój ojciec przyszedł tak niesłuchanie do siebie, że ma sił więcej, aniżeli kiedykolwiek dawniej.

— Rzeczywiście? — spytała córka rozpromieniona radością.

— Tak, z łaski Boga. Ale ty, droga moja, widzisz tylko jego, o tem zaś, co się w domu dzieje, nie wiesz zgoła. Z całej duszy pragnęłabym pozostawić cię w tej niewiadomości jeszcze, ale to niepodobieństwem! Gwido stracił miejsce, komorne nasze niezapłacone, gospodarz grozi fantowaniem, jeśli go w ośmiu dniach nie zaspokoimy, a w domu jedyne dwadzieścia talarów, które wzięłam od lichwiarza po dzieśnięć od sta. Coraz nam ciężiej:

— Boli mnie to, ale co robić?

— Słuchaj, dziecię moje, znasz to przysłowie: Pomóż sam sobie, a Bóg ci pomoże?...

— O tem też właśnie myślałam i jeżeli Gwido zechce pracować szczerze...

— Nie o to chodzi, — przerwała Rozalia niecierpliwie, Gwido pracować będzie, ale to nie wystarczy. Co do mnie nie mogę więcej pracować, jak teraz; patrz, jak mam ręce zmarnowane robotą. Pomyśl, czybyś i ty nie powinna, córko droga, swojemi siłami przyjść nam w pomoc?

— Bóg widzi, chciałabym z całej duszy, gdybym tylko miała sposób...

— Właśnie, że taka sposobność się nadarza. Przystajesz?

— O cóż chodzi, na Boga!...

— Słuchaj... Jest w Neapolu rodzina książęca, która posyła swoje panienki dobrze wychowanej, mówiącej po francuzku, jednym słowem, kogoś w twoim rodzaju...

— I do czego? — spytało dziewczę, którego serce uderzyło gwałtownie.

— Tak.... do towarzystwa panny przybyłej z zagranicy.

— Do towarzystwa?... powtórzyła Julia, której dech zapierał słowa. Jak to rozumieć?

— Rozumie się, musiałabyś być tam na rozkazy młodej pani, aby....

— Opuścić dom? opuścić ojca?... zawołało z przerażeniem dziewczę. — To niepodobna! niepodobna! już raz ci to mówiłam, matko.

— Rozalia zadrżała, ale zachowała spokój.

— Mówiłaś mi, ale wtedy rzeczy stały inaczej; twój ojciec był prawie umierający, nie dziw, że nie miałaś serca opuścić go w tym stanie, teraz jednak....

Julii zaświeciły oczy, twarz się oblała ogniem:

— Teraz — wybuchła gwałtownie — teraz, kiedy z takim trudem wyrwałam go prawie z grobu, miałabym go opuścić? rzucić na pastwę po raz drugi?

— Ty.... jego z grobu wyrwałaś! zakrzyczała z złośliwą pogardą kobieta. To trochę usług, które mu oddałaś, tak cię już bardzo nadyma? Czy to przez dwadzieścia lat nie było nikogo, coby mu łóżko odświeżył, lekarstwo podał?...

— Ktoby go kochał, nie było nikogo! — odparła Julia, uniesiona bólem i oburzeniem. Nie! opuścić go nie mogę i nie powinnam.

— Powiedz, że nie chcesz.

— A więc nie chcę, tak jest, nie chcę wyrzutu, żem go zamordowała... niech się tem cieszy kto inny!

Na te ostatnie słowa złość Rozalii przeszła granicę. Podskoczyła ku córce i krzycząc: Żywem, czy trupem stąd cię wydostanę! — uderzyła ją w twarz.

Julia nie wymówiła słowa, nie wydała jęku, twarz zasłoniła rękami i stała, jakby nieprzytomna, po chwili usłyszała krzyk chłopca, nie rozumiejąc go nawet: — Papo! papo! mama Julię bije!... Dopiero wtenczas zbudził ją krzyk inny, wystraszony, okropny, jak ryk lwicy na widok porwanych dzieci.... Podniosła oczy i ujrzała scenę pełną grozy....

Menikucio szlochał, Gwido nieruchomy na progu poruszyć się nie śmiał. Julia rzuciła się do nóg ojcu, na próżno — nie uważał na nią, podobny do tygrysa, kiedy ma łup w szponach. Na krzyk kobiety nadbiegła Karmela z córką, i dopiero wtedy Gwido rzucił się ku ojcu, usiłując napróżno otworzyć mu palce ściśnięte konwulsyjnie. Obie kobiety odciągały ku sobie całą siłą Rozalię. Grzegorz robił wysilenia nadludzkie, zimny pot lał się po wykrzywionej twarzy — naraz, w jednej sekundzie, opuściły go siły wszystkie, rozwarły się ramiona, zachwiały nogi, byłby runął na ziemię, gdyby go Gwido nie powstrzymał; ale w tej samej chwili, kiedy głowa pół martwa zwisała bezwładnie na ramieniu syna, strumień krwi buchnął z ust sinych.

Rozalia przyszła prędko do siebie staraniem dwóch przyjaciółek, tylko ojciec i córka leżeli opuszczeni, jak dwa ciała martwe. Przy nich stał Menikucio wystraszony, drżący.

Niedługo potem Rozalia w towarzystwie przybyłych kobiet opuszczała mieszkanie, powtarzając groźnie:

— Nie przestąpię więcej progu tego domu!

Wreszcie i Julia odzyskała przytomność, podniosła się i poczęła trzeźwić chorego.

— Podnieść rękę na tego anioła!... były pierwsze słowa, skoro przytomność odzyskał.

Napróżno dziewczę próbowało go uspokoić.

— Milez! przerwał drżący, to dopelnia miary! Takie moje przeznaczenie, próżno się kusić, aby je odmienić.

XVI.

W dziesięć dni potem śmierć zagościła w tym domu smutnym i pustym. Skąpy promień słońca, który się przedarł przez zamkniętą okienicę, oświecał jedno tylko z tych

dwóch łózek, pomiędzy które Julia dzieliła staranie swoje; dogorywał na niem — nie Grzegorz, ale Menikucio. Przestrach i zgroza owej nocy okropnej sprowadziły gorączkę, która strawiła to życie, nierozwite jeszcze.

A przecież nic pięknie szego, jak śmierć tego niewiniątka, co zchodziło ze świata, zanim go poznać mogło! Chłopczyzna cierpiał okropnie, ale w ostatniej chwili cierpienia przeszedł zupełnie, ustępując miejsca błogiemu omdleniu, w którym powoli uchodziło życie dziecięcia. Jego twarzyczka bielsza od płócien, na których spoczywała, biała jak marmur, lekko uśmiechnięte usta, duże oczy, powiększone jeszcze chorobą, przymknięte delikatną powieką, przez które przebijały modre źrenice, włosy w bezwładnych puklach rozrzucone na poduszce, jak aureola błyszczące, nadawały mu pozór anioła, co lada chwila ku niebu uleci. Naraz zbudził się z tego spoczynku, począł poruszać blademi rączkami.

Julia się zerwała i pochyliła nad nim:

— Menikucio! Menikucio! patrz na mnie.

Dziecię otworzyło z wysileniem oczy, a błysk, który w nich zaświecił, zdawał się wskazywać, że poznał siostrę.

— Papa!... wyszepnął ciężko — ach! papa...

Julia zawahała się chwilę, potem pod wpływem nagłego postanowienia opuściła spiesźnie pokój, przeszła salonik i weszła do izdebki, do której się Grzegorz przeniósł na jej nalegania.

— Julio! spytał trwożnie biedny ojciec, podnosząc się z starego fotelu, co on robi?

— Woła cię, ojcie, — odpowiedziała.

Grzegorz podniósł się z wysileniem, a córka podtrzymując go, zaklinała z słodyczą, aby zebrał siły wszystkie i wybuchem bólu nie mieszał spokoju uroczystego tej chwili okropnej. Zawiodła go przed łóżko konającego chłopięcia, na którego położyła drżącą rękę ojca.

— Menikucio... Menikucio! papa przy tobie, błogosławi ci; co chciałeś od niego?

Dziecię ócz nie otwarło, ale wyszeptano głosem przegasył i przerywanym.

— Papo! papo.... ty także.... ty także.... tam tak pięknie.... Nie chcę bez ciebie.... Przyjdiesz?... och....

Menikucio nie mówił więcej; konanie jego nie było tak okropne, jak ten ból szalony, nadludzki, co rozrywał piersi ojca. Julia upadła na kolana, zwracając oczy to na ojca, to na brata, to na niebo jasne, które się zdawało uśmiechać na przyjęcie nowego mieszkańca.

Nastąpiła chwila ciszy, potem głębokie westchnienie, jakby poruszenie skrzydeł i anioł uleciał z ziemi.

O zmierzchu tego samego dnia stary kapłan modlił się przy maleńkiej trumnie, w której strojne w wstążki i kwiaty spoczywało ciało dziecięcia.

W pierwszej chwili po usunięciu się matki Julia, choć przybita jeszcze wrażeniem sceny okropnej, choć z bólem wyrzutu, że stała się jej przyczyną, doznała pewnego zadowolenia na myśl, iż znajduje się już bez podziału pomiędzy temi dwiema istotami, których była jedyną miłością, jedyną podporą. Zaskoczona śmiertelną chorobą Menikuczia, pomimo nadludzkich wysiłków czuła, że nie wystarczy sama ojcu i bratu, zwłaszcza kiedy trzeba ich było rozłagczyć, aby oszczędzić ojcu rozdzierającego widoku. Wtedy, przezwyciężając wstręt naturalny, poszła prosić o pomoc Nanelli. Próżna dziewczyna, która przypisywała wpływowi siostry, że ją Gwido porzucił, nienawidziła jej za to z całej duszy i nie mogła opuścić takiej okazji, aby biednej nie obrzucić obelgami i szyderstwem. Julia przyciśniona bólem i upokorzeniem, pozbawiona wszelkiej pomocy ludzkiej, zdawała się upadać pod brzemieniem losu, a jednak u nóg tego łóża, na którym spoczywał brat umarły i zemdlony ojciec nie straciła wiary, ani odwagi. Pod wpływem szczęśliwego natchnienia napisała na przedce bilecik do szlachetnego starca, księdza, który jej tyle razy okazał współczucie i który tak czule pieścił nieraz Menikuczia. W godzinę potem wchodził ojciec Ambroży, a

zostawiając Julii starania koło ojca, zajął się sam oddaniem ostatniej przysługi małym zwłokom.

Kiedy wreszcie odniesiono zwłoki chłopięcia na miejsce wiecznego spoczynku, czcigodny starzec zwrócił się do pokoju Grzegorza, który niemy, pogrążony w bólu, rękę wyciągnął na powitanie. Kapłan ścisnął ją z uczuciem i przytrzymał w swej dłoni:

— W chwilach bolesnych, powiedział, bywa zwykle natrętną przytomność obcych, sługa jednak boży nie może być uważany jako obojętny. Czy pozwolisz pan, że od pierwszego zaraz widzenia nazwę cię przyjacielem, synem?...

Usta Grzegorza pozostały nieme, ale ręka ścisnęła słabo dłoń kapłana, który mówił, siadając obok:

— Myślę, że odgadł myśl pana, zachowując mu pamiętkę po synu. Oto pukiel jego włosów!

— Mój syn! mój syn!... zawołał gwałtownie biedny ojciec. Po chwili opuszczając głowę z rozpaczą: Nie mam już siły, żeby płakać — dodał.

— I dla czego byś miał płakać, synu mój? Ty, co przeszedłeś wszystkie bóle, wszystkie niebezpieczeństwa życia, czy nie powinien byś raczej zazdrościć swemu dziecku, że ich uszło tak prędko? Jakież niezmierzone szczęście stało się jego udziałem!

— Prawda! ale ja... ja go tracę na zawsze!

— Na zawsze? Przenigdy, mój przyjacielu!... Bóg (Julia wyszła w tej chwili po lampę) dał ci dwóch aniołów, jednego, aby cię poprzedził, drugiego, aby szedł za tobą tam, gdzie już rozłączeń nie będzie. Otóż wraca ci możliwość płaczu, dodał, widząc dwie łzy spływające po bladym obliczu.

— Biedna Julia! wyszepnął Grzegorz, dla niej także to dziecko było jedyną pociechą.

— Jedyną? o! nie, kochany ojciec, odpowiedziało wchodzące dziewczę, dopóki ty mi zostaniesz!

— Niestety! aby cię o nowe przyprowadzić cierpienia!... a zresztą... zostanie ci tak krótko.

Gwałtowne łkanie przerwało mu słowa.

— O! mój Boże, mój Boże... załamała ręce Julia, i z płaczem wybuchając, zawołała pierwszy raz w życiu: Jakież los mi zgotowałeś?...

— Dziecię! odezwał się kapłan tonem łagodnej wymówki, tobie przystoi ten brak wiary? Alboż zbadać możesz sądy Opatrzności?

Grzegorz płakał jeszcze długo łzami cichymi, kapłan powtarzał mu te słowa pociechy, jakimi tylko wiara natchnąć może, ale nieznacznie wzmagalo się osłabienie chorego, wreszcie nie był w stanie rozumieć czegokowiek. Wtenczas świątobliwy starzec zwrócił swoje starania, aby ulżyć cierpieniom fizycznym.

Nakłonił go, aby się posilił, ułożył go prawie swymi rękami do łóżka, pozostał czas jakiś, rozrywając i pieczęjąc chorego z prawdziwie ojcowską miłością. Ale godzina była już późna i trzeba było myśleć o odejściu; ścisnął raz jeszcze rękę chorego:

— Niech cię Bóg strzeże, powrócę jeszcze, jeśli będziesz rad temu.

— Dziękuję, ojciec, odparł Grzegorz, módl się za nas, i...

— I... mów otwarcie, czy mogę co zrobić dla ciebie?

— Gdybyś powrócił jutro... dodał chory błagalnie.

— Wróć, wróć najchętniej, mój synu, byłbym sam to zrobił, gdybym się nie bał być natrętnym.

Kiedy kapłan wyszedł, Grzegorz przywołał Julii i z żywym powiedział wzruszeniem:

— Słuchaj, Julio, co byś mówiła, gdybym... gdybym się wypowiadał przed tym dobrym kapłanem?...

— Och! ojciec, ojciec! zawołała dziewczę w uniesieniu, ostatnie życzenie Menikuczia się spełni, a ja... ja niczego już nie pragnę na ziemi!

Zanim się jednak spełniło Menikuczia i Julii gorące życzenie — przeszedł Grzegorz ciężką, ostatnią walkę, w której mu święty, wyrozumiały starzec podał dłoń zbawczą, a wreszcie jednego dnia, wychodząc z pokoju chorego, powiedział Julii:

— Dobra nowina, dziecię moje, jutro przyjmie komunię św.

Julia zadrżała do ojca, twarz miała rękami przykrytą, leżał nieporuszony, w niemem skupieniu. Upłynęło pół godziny, zanim ją wezwał. — Zbliżyła się tak poruszona, że słowa wydobyć nie mogła, wzięła tylko jego rękę i przyłożyła ją do ust.

— Wiesz więc... zaczął.

— Tak, wiem, że Menikucio modlił się za ciebie, ojciec... i za mnie także. O! ta chwila wynagradza wszystko.

— A czy wiesz? odpowiedział chory po krótkim milczeniu — czy wiesz, co trzeba zrobić jeszcze przed naszym jutrem?

— Nie, ojciec, ale dowiem się od ciebie.

— Najpierw więc... och! to nie jest dla mnie warunkiem trudnym? — mówił z przymieszką smutku i czułości, najpierw więc, mam prosić ciebie o przebaczenie za...

— Mnie? o! mnie za nic, mój biedny ojciec! zawołała z uniesieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORRESPONDENCJE „DWUTYGODNIKA.”

Lwów, dnia 18 czerwca.

W poprzednim liście wspominałem o sprawie żydowskiej, która zajmuje dziś uwagę całego kraju. Mówiłem też i o sprawie innej, wielce ważnej, ale trochę smutniejszej.

Jest nią sprawa Olgi Hrabarowej i jej towarzyszy. Taki tytuł nosi sprawa, będąca dziś przedmiotem głównego procesu. Pomimo, iż unikam polityki, muszę przecież o procesie tym wspomnieć ze względów narodowych.

Wprawdzie nie o Polskę tu idzie i nie o Ruś, bo to austriacka prokuratura wytoczyła proces przeciwko kilku Rusinom, usiłującym działać na zgubę państwa, a na korzyść Rosyi. Pomimo tego wszakże sprawa ta nas dotyka wielce i dla tego pozwolę czytelnicy, iż już po raz drugi w mych korespondencyach potrącam o politykę. Idzie tu o walkę narodowościową, którą od długich już lat nieprzyjazne nam żywioły na Rusi czerwonej wszczynają i podtrzymują. Dziś wywołują rozmaite krzywdy, niby od Polski doznane i jatrzą, zamiast koić. Rzecz to niegodziwa i nikt jej pewno nie pochwali. To też jest źródło, z którego wypłynęła dzisiejsza sprawa aż przed trybunał sądu. Zaczęła się nienawiścią do Polaków — skończyła sympatją dla wrogów. Ta sympatya popchnęła zapaleńców aż do działania na szkodę Austrii.

Ufamy w przebaczenie za to zboczenie do kwestyi na pół politycznej, a przytoczę na moje usprawiedliwienie tę okoliczność ważną dla czytelniczek, iż główną obwinianą w tym procesie jest — kobieta: Olga Hrabarowa.

Kobieta konspiratorka to rzecz niezwykła, niecodzienna. Zajęcie tego rodzaju nie licuje z charakterem kobiecym, jest mu nawet wprost przeciwnie. Dzieją się wszakże czasem rzeczy nadzwyczajne. Tak stało się i tym razem.

Olga Hrabarowa wygląda też na spiskowca. Wyraz jej twarzy surowy, zdradza na pierwszy rzut oka usposobienie do pracy skrytej, a niedobrej poświęconej sprawie. Jej się więc nie dziwujemy.

Lecz trochę dziwniej wygląda, dla czego nasze panie tak spieszą na galeryę do sali sądowej. Czyż już we Lwowie nie ma nic bardziej kobiecie interesującego? Czy wreszcie sprawa, tak ściśle polityki dotycząca, a pełna jakichś skrytych agitacji, przekupstwo, szpiegostwo może istotnie być przedmiotem ciekawości dla kobiet? Jakoś nie możemy tego zrozumieć, dziwnem nam się to wydaje, a jednak tak jest. Kobiety chodzą na rozprawę sądową tłumnie. Nie można nastarczyć biletów

Fakt to zresztą nieodosobniony; ta sama historia powtarza się słowo w słowo przy każdym procesie.

Lecz dajmy temu pokój, bo to nie najlepsze.

W kraju zaczynają pożary wyrządzać ogromne szkody. Wsi i miasta palą się zbyt często, a tem samem bieda wielka dokucza nieszczęśliwym. Starają się temu, ile możliwości, zapobiedz bądź to drogą składek, koncertów, loteryi fantowych, lub też wreszcie zapomóg i funduszów krajowych.

Nie możemy pominąć milczeniem koncertu, urządzonego w Złoczowie na rzecz pogorzalców wsi Skniłowa. Urządzeniem tegoż zajmował się bardzo gorliwie hr. August Łoś. Staraniom jego powiodło się zebrać dość znaczny dochód, a przykład piękny może zachęci niejednego właściciela wsi do naśladowania go w tym względzie, gdy idzie o wsparcie włościan. Wdzięczność też należy się artystom i artystkom, którzy na koncert ochoczo pospieszyli. Z kobiet brały udział w koncercie panie: Ida Glatz i Ida de Sass (Soroczyńska.)

Pierwsza jest pianistką wielce utalentowaną, znaną już z estrady koncertowej we Lwowie. Tym razem dała nowy dowód swego talentu, a zarazem przypomniała, jaką szkodę wyrządza melomanom tem, że niesłuchanie rzadko daje się słyszeć. Druga jest bardzo sympatyczną śpiewaczką, znaną z lwowskiej opery — niestety talent jej nie ma pola do popisu, gdyż teatr lwowski nie ma nigdy opery. Ostatniej zimy kleiło się coś, tlało, ale dobrej opery nie można było utrzymać nawet przez jeden miesiąc. Czyja w tem wina, trudno orzec. Nie chcemy winić dyrekcyi, ale uniewinnić jej nie możemy.

Po koncertach dajmy miejsce literaturze

Na pierwszym miejscu zapisujemy prześliczną rzecz hr. Kazimierza Wodzickiego „O Skowronku.“ Jest to już ósmy z rzędu zapisków ornitologicznych, o których w ogóle musimy powiedzieć, że są znakomite. Tyle w nich prawdy, tyle najwierniej z życia ptaków pochwyconych rysów charakterystycznych, tyle daru obserwacyjnego, a przytem umiętności opisywania, że się odczytać nie można.

Lecz obok tego zasługuje na największą uwagę druga strona dziełka, o którym mowa. Oto autor zbacza od właściwego przedmiotu — skowronka, aby pomówić o wsi, aby zachwycić się pięknem naszej przyrody, aby lubować się w obrazach naszego życia wiejskiego. A kiedy już o wsi mówi, to nie może pominąć i wiejskiej gospodarki i dotyka jej, oraz życia w całym kraju. I widzimy obraz malowany wiernie, pięknie, a jednak bez pochlebstwa. Autor musi nieraz wypowiedzieć gorzką prawdę, odsłonić niejedną słabą stronę. Obraz ten jest doskonałym wizerunkiem naszych stosunków krajowych. Dowodzi nim autor wielkiej kraju znajomości, a pisze tak, jak człowiek, który z ziemią ojczystą zrósł się i kocha ją.

Księgarnia H. Altenberga zapowiada „bibliotekę klasyków.“ Będzie to wydawnictwo ogromnie tanie a piękne. Po ukazaniu się pierwszego tomu napiszemy o nim obszerniej.

Jerzy hr. Borkowski wydaje „Spis nazwisk szlachty polskiej.“ Całość będzie obejmowała około 25,000 nazwisk. Część pierwsza zawiera nazwiska od A. do J. Dzieło to będzie bardzo cenne z tego względu, że autor cytuje wszędzie źródła, skąd można zaczerpnąć wiadomości o każdej rodzinie. Będzie to dla heraldyków bardzo pożądana akwizycja.

Na ostatek wieść smutna.

Oto straciliśmy młodego, a wiele obiecującego pracownika na polu nauki. Był nim Stanisław Łukas, młody, a już wielce ceniony historyk. Uczeń to był lwowskiego uniwersytetu. Talentem zdumiewał tych, co czytali jego prace, a pracowitość, dziś rzadka, może niemało podkopała jego zdrowie. W kraju i za granicą pracował bez wytchnienia, składając część tej pracy w licznych rozprawach historycznych, już ogłoszonych, część dopiero miała się ukazać później. Pracując wiele, gotował się do habilitacyi na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Wpierw chciał wszakże wyjechać jeszcze za granicę dla skompletowania pewnych poszukiwanych okiem.

Śmierć nieubłagana nie pozwoliła mu dokonać tych pięknych zamiarów, a nam zabrała najpiękniejsze nadzieje i złożyła je w ziemi, z której nic już nie powraca.

Strata to wielka, a tu większa, że lwowski uniwersytet miał nadzieję pozyskać w zmarłym kiedyś znakomitego profesora. A uniwersytet nasz potrzebowałby bardzo sił wielkich, bo dziś — ruina fatalnie się rozwiela. Wydział filozoficzny tak chroma, jak pewno nigdzie indziej na świecie. Straty częste są, a nabytków nowych nie ma. Ot n. p. na miejsce dr. Juliana Ochorowicza powołał senat akademicki dr. Skrochowskiego, na którego wykłady nie zapisał się dotąd ani jeden słuchacz. Poprzednik jego miał zawsze salę zapełnioną.

Fakt aż nadto wymowny.

Mamyż się wiecznie łudzić i pocieszać nadzieją i powtarzając: „jakoś to będzie“, okłamywać samych siebie!?

Z.

Paryż, dnia 18 czerwca.

„Niechaj inni chwalą słynną Rodę albo Mitylenę, lub Efez i Korynt o dwóch morzach,“ ja dzisiaj bliższe nam rzeczy opiewać będę. Jest dom, otoczony drzewami, o szarym, śpiczastym dachu, o oknach, zielonemi zdobnych okiennicami, dom cichy i miły, niby dwór wiejski z ostatniego stulecia. Dwór z ogrodem, gdzie jeszcze ostatnie bzy kwitły, gdzie po różach czerwieniły się piwonie, parafianki! gdzie stary pies na słońcu się ogrzewał, gdzie dzieci o złotych włosach, o niebieskiem, słowiańskiem oku, po trawnikach się kulały. Jest to kąt polski na francuskiej ziemi; Polska za Paryżem, ginącym w przestrzeni z oceanem swych dachów, Polska za gajami Sèvres i Meudonu, za Neptuńskim basenem, w którym odzwierciedlają się wspaniałości parku wersalskiego, za czwogoraniastemi koszarami St. Cyr, gdzie może nad planami i mapami ślęczy dzisiaj nowy Napoleon przyszłości; jest to Villepreux, siedziba wieszcza polskiego, nestora poetów naszych, Bohdana Zaleskiego. Pisałem już, zdaje mi się, łaskawym czytelnikom, że towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu ułożyło adres z podpisami członków dla uczczenia jubileuszowej rocznicy poety. Otóż prezes towarzystwa, konserwator biblioteki, (zaprzyśiągłem sobie, że wymieniać nigdy ludzi nie będę,) i ja, chyba dla sprawdzenia ewangelicznych słów, że ostatni bywają niekiedy między pierwszymi, wręczyliśmy miśsiac temu ów adres pięknie pisany, pięknie oprawny, piękniejszy jeszcze szczerością wyrazów w nim zawartych, sędziwemu jubilatowi. Nie będę adresu tu przepisywał, nie wymienię w nim podpisanych, nie powiem nawet także, dla czego dopiero w parę tygodni po rocznicy udaliśmy się z księgą naszą do Villepreux — nie powiem, bo nie wiem, bo tak się zdarzyło, bo tak los, bo tak Opatrzność zrządziła. Pamiętam za to, iż było to w dzień Wniebowstąpienia, jakby dla przypomnienia pocie, że i dla niego za życia rozpoczęła się nieśmiertelność. Nie będę również określał wam bliżej drogi naszej; to, com wyżej powiedział, wystarcza. Z stacyi kolejowej w Villepreux wiją się wśród szerokich krajobrazów z jednej strony na pagórkach lasy, dzwonnice kościołów wiejskich, z drugiej łany podobne do pól rodzinnych, po których, jak tu dzisiaj, za powiewem tego samego, co i tu, wiatru kołyszą się zboża i żyta „plód ziemi wszelakiego rodzaju.“ W progu domu wita nas gospodarz, niby patriarcha aniołów. Nie śmieście się Panie z porównania, skrzydeł anielskich nie mieliśmy wprawdzie, minęły niestety dla nas czasy anielskiej niewinności, ale niemniej byliśmy wysłannikami, a anioł i wysłannik w pierwotnych językach jedno i to samo znaczy, (oi 'aggeloi.) — Było też proste i serdeczne, prawdziwie biblijne przywitanie. Byli nam radzi i czuliśmy, że nam radzi byli. Żaden z nas nie wyrwał się z mową przy wręczeniu adresu. Po cóż? W jednym uściśnieniu ręki, w jednym wyrażeniu tyle mów streścić można. Otoczonego rodziną, zięciem, córką, wnukami, którym Polska z niebieskich ócz patrzy i dwoma synami zasłużonymi pracą, cieszącego się szacunkiem mieszkańców, miłością i uwielbieniem rodaków, czyż nie

miałem słuszności nazwać poety patryarchą? Z długą, na piersi spadającą białą brodą, z poważnym, głębokim i łagodnym zarazem wzrokiem, stawiała mi przed oczyma postać Jakóba. Na licach przebija szczerość uczuć, która jest prawdziwą młodością, bo młodością duszy. Zapomnieliśmy przy starcu o jego osmdziesięcioletniej rocznicy. Ruchy żywe, w oczach wyrazistość, rozmowa pełna, pamięć zdumiewająca, a przytem powaga, wyrozumiałość, skromność. Cóż wam więcej powiem? Zdawałoby się, że łabędziem piórem o pocie pisać wypada. Ale tam było lepiej, niż u poety, tam było, jak u nas. Nie obsługiwały nas nimfy, nie myto nas wodą, z srebrnych naczyń płynącą, nie obmywano nóg naszych, głów nie smarowano olejkami woniącymi, nie piliśmy ambrozyi w złocistych czarach, nie mieliśmy lutni i nie śpiewaliśmy, jak niegdyś ukoronowany poeta, lecz za to dusze nasze, jak lutnie, nastrojone były. Nie zdobędę się atoli na górnolotne opisy. W saloniku, jak mi Bóg miły, zwyczajna mahoniowa kanapa, wyiędłym, czerwonym aksamitem obita, przed nią stół, nakoło zwyczajne sobie fotele i krzesła. Nad kanapą między oknami portret poety Malczewskiego, po prawej stronie w kącie fortepian, po drugiej trzecie okno, lejące światłość w izbę. Na murach, o szarych tapetach, polskie obrazy: Kościuszko, Sobieski, litografie chwał ojczystych, a gdy zasiedliśmy w pobliskiej jadalni, jak u nas na stole buchał samowar i rozlewano woniącą, jak u nas, herbatę.

Mówiliśmy też prostodusznie, w spójni uczuć, jak u nas, trochę o wszystkim, o sztuce, o poezji, o Rzymie i Krakowie, o nieobecnych przyjaciółach, zawsze wracając jednak do swojskich rzeczy, do kraju, do Polski; bo ojczyznę my, wędrowcy, wszędzie z sobą nosimy, bo myśl ojczyzny przechowujemy w duszach naszych, jak szczyptę jej ziemi w misternie wyciosanej urnie, bo lary nasze — to myśl ojczyzny, a ołtarze ich — to dusze nasze!... I gdyśmy po paru godzinach pożegnali ten dom gościnny, tego starca, nad którym już zabłysła zorza nieśmiertelności, gdy pociąg nas unosił cichym, wiosennym wieczorem wśród rozkosznych wyżyn okolic Paryża, gdzie w świetle słonecznym bielili się domy i promieniła zieloność ogrodów i łąk, przypomniałem sobie znany ustęp Virgiliusza: „O! szczęśliwy starcze, tu, nad znanymi ci brzegami rzek i czystych źródeł używaj świeżego cienia. Niechaj cię z sąsiedniego płotu pszczoła, kwiatami karmiona, lekkim swem brzęczeniem zachęca do snu; niechaj zpod wysokiej skały kołyszą cię śpiewy rolnika, niechaj, twojem staraniem chowane, zlatują się gołębie, niechaj z wysmukłej wierzy miłośnie nie przestaną gruchać ci synogarlice“ Ale oto już dojeżdżamy, „już z daleka dymią sterczące dachy miasta i dłuższe padają z wysokich gór cienie“*).

A teraz o czem jeszcze mam Paniom pisać? Paryż posmutniał; Paryż za paryżanami i paryżankami tęschni: Paryż chmurny, słotny, zimny mimo długich dni czerwcowych. Gdzie się oglądam, widzę spuszczone żaluzje, wypróżnione domy; szukam daremnie przyjaciół, a choćby nie przyjaciół, to znajomych, a choćby nawet nie znajomych, to dostrzeganych często w świecie znanych przynajmniej twarzy. Co za przesada! pomyślicie łaskawe Panie, czy Paryż zawsze nie Paryżem? czy nie ma teatrów, ogrodów publicznych, książek nowych, polityki, Gambetty, Egiptu? (bo dzisiaj Egipt nad Sekwaną) — czy wreszcie, kiedy pan w Paryżu szukasz darmo znajomych, nie możesz za nimi podążyć? Tak jest, powtarzam i ja sobie to nieraz. Skoro tylko po wielkich wyścigach dowiedziałem się, że Bruce, Anglik, poblił Francuza Fenelon'a, rozmyślałem już o odjeździe, lub o pocieszających miejscowych rozrywkach. Cóż z tego, kiedy mam tyrana, księgarza, wydawcę, codzień od piętnastu dni jutro mnie wydającego, który mi się uśmiecha, który sobie trze ręce z zadowolenia, który powtarza: *c'est pour demain*, zawsze *pour demain*, a który mnie tem jutrem jak niewolnika za sobą włości. Oj! znam ja się na tym uśmieszku i na tem tarcu

ruk i na tem *demain*! przebija w nich ironia mego tyra: „Chciało ci się romans pisać i kazać mi go przepłacać, więc poczekaj; kiedy ja się całe lato w Paryżu dusić muszę, duś się i ty trochę“. Na szczęście, niebo samo zmiłowało się nade mną i srogością swą niweczy zbrodnicze zamiary księgarza: zimno i deszcz — siedzę więc filozoficznie u siebie. Cóż robić? gdzie iść, gdzie się pocieszyć? teatrów nie ma; zamknięte. Francuzi (mówię o aktorach) odpływają do Londynu. Wczoraj jeszcze dodawałem serca truchlejącej przed widokiem przeprawy zimie Louisy Abbema alias pannie Reichemberg. No! a książki?... Książek nie ma także, jedna tylko: „La bouche de Me. X“ Adolfa Bélet; ale o niej nie mogę czytelnikom nie powiedzieć. Doznaję nawet wyrzutu sumienia, że o tytule wspomniał, przestrzegam więc, że „Usta pani X“ sont à l'index. Pozostaje mi wprowadzić le musée Grevin. Mała to jednak pociecha widzieć Gambettę z wosku, kiedy go nieraz spotykam z duszą i ciałem, patrzeć na milczącą, woskową Sarę Bernhardt, kiedy miałbym sposobność nasłuchiwać się jej srebrzystego głosu (który notabene wiele stracił na dźwięku).

Przyrzekają mi wprowadzić wiele innych woskowych i niewoskowych figur w tym nowym Edenie, ale zwiedzenie jego odkładałam na później, jako ostatnią kroplę wody w Saharze. Jeżeli bowiem mój tyran swem jutrem dłużej mnie tu kępować zamyśla, zobaczę jeszcze woskowego Gambettę, woskową Sarę Bernhardt i w przyszłym liście dam czytelnikom wierny odcisk owych wszystkich woskowych figur. Tak to na świecie bywa, zjadłem łąkomo, jak Francuzi mówią, mój chleb pszenny (*mon pain blanc*) w zeszłych miesiącach, a teraz już mi chyba nic nie pozostaje. Gdybym przynajmniej jeszcze raz mógł usłyszeć Renan'a, odpowiadającego Cherbuliez'owi w akademii. — Ale Renan, choć wymowny, ma także swoje godziny milczenia, a Cherbuliez'a dla zabawki mojej nie można dwukrotnie akademikiem mianować. Prawda, że nieśmiertelnicy obrali nowego śmiertelnika w osobie Monseigneur'a Perraud, znanego biskupa z Autun, przyjaciela Polaków, lecz witać go będzie Camille Doucet, co mniej jest w istocie ciekawem, nadto spodziewać się należy, że mnie wtenczas nareszcie Didier, mój akademicki wydawca, (*librairie académique*) ze szponów swych wypuści. Więc czy nielepiej list mój zamknąć? Uczyniłbym to niechybnie, gdybym nie miał obowiązku dotrzymania obietnicy, a obiecałem w ostatniej korespondencji, że zdam czytelnikom sprawę z komedii dwuaktowej Oktawiusza Feuillet, odegranej ostatnimi czasy w Comédie française. Czy warta atoli sprawozdania, niechże same Panie osądzą?

Hrabia de Nozan, kawaler (Feuillet zawsze tylko z tytułowaniami osobami obcuje) kochał wdowę, hrabinę de Pons, i był przez nią kochany. Ludzie prości w takim razie sądziliby, że nie nie pozostaje zakochanej parze, jak podążyć do ołtarza. Widać też zaraz, że p. Feuillet nie należy do prostych ludzi. P. Feuillet wysłał hr. de Nozan do Meksyku. Meksyk daleki, można z miłości się wyleczyć, nim się do dawnej ziemi kacyków dopłynie, co dopiero w przeprawie powtórnej do Francji? zwłaszcza, gdy się na statku spotyka tak cudną panią, jaką jest panna X... To też hrabia, który wie z doświadczenia, że miłość zmienia, jak fale, tym razem chwyta ją w przebiegu i prosi kapelana (dla czegoś i kapelani nie mieli zwiedzać Meksyku dla użytku komedii P. Feuillet)? prosi więc kapelana, aby natychmiast związkowi błogosławił i śliczna panią staje się hrabiną de Nozan. Ale jak się teraz wytłomaczyć przed panią de Pons? jak jej o sprzeniewierzeniu donieść? Hrabina nie jeździła do Meksyku, siedziała w domu, czekała, może więc z nudów, w jednostajności życia i oczekiwania kocha ona zawsze niewdzięcznika. Ale hrabia, dzielny człowiek, ma i na to środek. W sąsiedztwie właśnie mieszka margrabia de Ludes, młody, przystojny wdowiec, a do tego niepokieszony wdowiec, co jest rzadszem. Otóż Pani de Pons, która ciągle nic się nie dowiaduje o małżeństwie (myśleć trzeba, że hr. de Nozan trzyma żonę zamkniętą w szafie lub kuferku), która zawsze kocha hrabiego,

* Virgiliusz: Bukoliki, Egloga.

która wie, że jest młoda, wcale niebrzydka, a przytem podrażniona wiecznymi jękami sąsiada, postanawia go pocieszyć. Markiz atoli z razu nie zważa wcale na te miłosierne usiłowania, wciąż jęczy i wciąż się wpatruje w portret zmarłej margrabiny. To też między hrabiną a portretami walka na przebój. Zobaczmy, kto zwycięży. Niewątpliwie, że hrabina. Margrabia niebawem spostrzeżga, że jej uśmiech miły, pełen obietnic, że słodkie jej oczy, że choć i ona wdową, patrzy się jednak wesoło na świat boży, a nie tylko w wizerunek nieboszczyka męża, więc najprzód powoli, w cichości przed sobą samym uznaje, że portrety, choć najwierniejsze, są zawsze tylko portretami, że nie dorównują wcale żłomom życia, młodości i piękności, potem zaczyna o tem hrabinie coś nieśmiało wspominać, aż pewnego poranku portrety markizy na strych wyniesione zostały, a markiz klęczący przed hrabiną błaga ją, aby go odtąd do reszty życia pocieszała. Hrabina, przypuścimy, że z miłosierdzia, zgadza się na to. Następuje ślub, wszyscy się godzą, wszystko się dobrze kończy i P. de Pons może nadal bezpiecznie żonę z ukrycia wydobyć. W o r m s w roli margrabiego, B a r e t t a, jako hrabina, R e i c h e m b e r g panna służąca, a C o q u e l i n młodszy kamerdyner, nadają tej dość niewinnej komedycie doskonałością i dowcipem gry wcale przyjemny charakter.

Nie tak łatwo rzeczy pójdą, jeżeli na francuskiej scenie przedstawia ostatni dramat Wiktora Hugo: „Torquemada”. Ach! Panie, zawiniłem! Zamiast cześć gadaniną kartki napelnić, powinienem wam być Torquemadę zaprezentować. W istocie, gdybym dla innej, mniej umysłowo wykształconej publiczności pisał, poprzestałbym, jak na dzisiaj, na wspomnieniu, kto był Torquemada, w jakim czasie żył, jaka właściwie jego historyczna fizyonomia, jakie były jego dążności i czyny. Ale każda z czytelniczek „Dwutygodnika” pewnieby mnie jeszcze czegoś nauczyla w tym względzie; odkładam więc do przyszłego listu sprawozdanie z tej ostatniej pracy poety francuskiego, dodając, że nie ma złego, któreby na dobre nie wyszło, gdyż przynajmniej już nie tylko o woskowych figurach pisać Panom nadarzy mi się konieczność.

A. W.

Kronika literacka

z pośmiertnem wspomnieniem.

— Półtora to już upłynęło miesiąca, jak w cichym zakątku, na łonie rodziny umarł dawno zapomniany poeta, którego poezye cenione są i popularne, choć imię samego twórcy pozostało niegłośnie, a dla wielu nawet całkiem nieznanie. Najpiękniejszą też pochwałą, jaką nad zawartym już grobem wypowiadamy o zmarłym, niechaj mu będzie uznanie, że pracował dla narodu bez wszelkiego samolubstwa, nie pragnąc nawet zbierać owoców swej pracy, owej chwały, należącej się słuszenie każdemu sumiennemu pracownikowi, jak ci sędziwi starcy, co nie dla siebie sadzą drzewa i gmachy stawiają. Dzienniki nasze zaledwo w krótkiej wzmiance doniosły w swoim czasie publiczności, że dnia 10 maja b. r. umarł w Królestwie Polskim, w dobrach swych, Chociwii, w powiecie Rawskim 70-cio kilkoletni starzec, Jan Nepomucen Jaśkowski, niektóre tylko piśma warszawskie poświęciły mu dłuższe nieco wspomnienie i nam więc miło jest bardzo, że zebrawszy trochę szczegółów tego żywota, tak starannie przed wzrokiem ludzkim się chowającego, możemy podzielić się niemi z naszymi czytelnikami. — Ś. p. Jan Nepomucen Jaśkowski urodził się r. 1807 w Wąchocku, w guberni Radomskiej; nauki pobierał w zakonach Cystersów i Pijarów, a rok 1830 zastał go już na uniwersytecie warszawskim. Wstąpiwszy w szeregi, dosłużył się stopnia oficera. Po wojnie opuścił Kongresówkę, udał się do Galicyi, gdzie się poświęcił zawodowi nauczycielskiemu, a zarazem znalazł sposobność podróży. Później zbiegiem okoliczności mieszkał w

Wrocławiu, gdzie się bliżej zapoznał i zaprzyjaźnił z Franciszkiem Morawskim; często odtąd widywali się obaj poeci i wzajem do pracy na polu literackiem dodawali sobie zachęty. W skutek bogatego ożenienia stał się Jaśkowski właścicielem ziemskim i przeniósł się na wieś do Królestwa na stałe już mieszkanie, a wszedłszy po stracie pierwszej żony w powtórne związki małżeńskie, do zgonu najszcześliwszem cieszył się pożyciem domowem. Wspomnianego zawsze serca, przekazał, umierając, testamentem znaczny zapis na stypendye dla ubogich uczniów radomskich, gdzie sam pierwsze pobierał nauki.

Jak już mówiliśmy, poezye Jaśkowskiego, a pisał głównie balady, romances i liryczne, znalazły ogólne uznanie, choć wychodziły prawie bezimiennie, podpisane tylko pierwszymi literami autora J. N. J., o nim zaś samym nawet w literaturach dla szkół przeznaczonych nie wspominają albo wcale, albo króciutkie zaledwie poświęcają mu wzmianki. Poezye te odznaczają się pięknymi a wzniosłymi myślami i dziwnie porywającą formą, a tchną takim głębokiem, gorącym uczuciem, ukochaniem ziemi rodzinnej i tego, co swojskie, że się musiały przyswoić w narodzie i nigdy młodzi nie przestaną się ich uczyć, a starzy zawsze z rozkoszą słuchać ich będą. I komuż nie przemawiają do serca owe proste a silne słowa w „Pieśni Pielgrzyma,” gdy ponad wszelkie cuda włoskiej krainy przenosi poeta cichy wdzięk kraju ojczystego:

W mej rodzinnej, lubej stronie
Blade niebo, ciemne błonie
Taką wonią tchnie,
Że te piękne, włoskie kraje,
Cytrynowe, wonne gaje
Nie zezarują mnie.

... kto raz już na tym świecie
Liliowe marzył kwiecie
W młodocianym śnie,
Ten podziwiać, uczyć może
Obcą piękność, obcą różę,
Ale kochać — nie!

Któż nie powie, że piękną ta „Elegia,” w której opiewane czar i potęga mowy ojczystej:

Lubię mowę ojczystą!... dziwna to jest enota,
Której umysł pocziwy nielato zrozumie:
Nigdy orzeł jaskółczej pieśni nie szczebiota,
Ani palma podrzeźniać szum dąbrowy umie.
Kaźda gwiazda na niebie swoim blaskiem płonie,
Kaźde ptasze, kwiat każdy pod niebios budowa;
Ma swój język, swe pienia, swój kolor, swe wonie;
Polki! a wy rodziną wzgardziłyście mową!

Albo w „Błogosławieństwie Polom” ileż to znowu miłości kraju i tej niewinnej chluby, która się raduje samem imieniem Polaka! Z wiosną cała natura nuci hymn powitalny strojnej w kwiaty i wdzięki rodzinnej ziemi poety, więc i on pyta z oddalenia:

Cóż stęśchniony za tobą syn twój ci przyniesie?...
Że nucąc, znalazł czasem pociechę w tej nucie,
Że płacząc nie nad sobą, wzrósł w silne uczucie,
Że znem spokojnym zasnął na twej grzędzie?
Pozwól, że polom twoim błogosławić będzie.
I w cytrynowych gajach, wśród nieznanych kwiatów
Śniąc o jodłowych puszczech i woni bławatów,
Zanuci polskim niwom pieśń w dalekiej ziemi,
Bo je kocha, bo dumny, bo się szczyty niemi.

Oprócz wymienionych najczęściej znane i ulubione z poezyi Jaśkowskiego są: Ballada jakich wiele, Powitanie, Policzek, Harfa strzaskana; prawie wszystkie były początkowo tj. przed r. 1840 umieszczane w naszych wielko-polskich piśmach: w Przyjacielu ludu i Tygodniku literackim, później dopiero w Bibliotece warszawskiej. Chociaż Jaśkowski w ostatnich latach życia oddawał się głównie pracy na roli, zapewniają nas, że nie zaniedbywał i pióra, a piśmiennictwo krajowe zawsze obchodziło go żywo. Dowiadujemy się także, iż żona zmarłego poety ma zamiar zebrać i wydać razem jego utwory, a zbiór ten, śmiało powiedzieć można, będzie jedną z ozdób naszej literatury. Z niewydanych, dawniejszych prac Jaśkowskiego: „Pieśń o piekle” z Boskiej komedii Danta znajduje się dotąd w rękopisie.

kobieta w domu pracowała i było im z tem dobrze. Lecz teraz, przy zmianie warunków, fach i dla kobiety zameżnej staje się często zbawieniem, gdyż praca mężczyzny nie wystarcza na wyżywienie rodziny i wychowanie dzieci, nadmiar zaś jej, zwalony na barki męża, przyczyną jest często śmierci, zatem smutniejszych jeszcze nastęstw dla osierociałej rodziny. Znow dla niezameżnych fach jakiś jest koniecznością, nawet przy zapewnionym bycie, a to dla tego, że wypełnia życie starej panny, daje jej zadowolenie moralne, przeświadczać o użyteczności swego stanowiska w społeczeństwie, i zjednywa jej szacunek ogółu. Usunięcie więc tej przyczyny i wypalenie podobnie szkolnego przesądu zależy głównie od matek, niech nie wpajają w główki swych młodych córek zamężność, jako jedynej myśli, która ma być alfa i omega dla kobiety, a staje się przyczyną smutnych zawodów i rozczarowań w życiu; przeciwnie wpajać należy w młode, niewieście pokolenie zasadę, że prócz świętego obowiązku żony i matki, równie święte jest prawo utrzymania i wychowania rodziny i praca, odnosząca się do ogólnych potrzeb społecznych. Jedną z takich właśnie obywatelskich potrzeb, najbardziej palących, to objęcie w swojskie, przede wszystkim kobiece ręce oświaty ludowej. Bez zaprzeczenia lud w Poznańskim bardziej jest oświecony, niżeli w innych częściach Polski, pojmując też ważność trzymania się ziemi; pomimo to gruba jeszcze warstwa ciemnoty, zababonu i lenistwa okrywa wnętrza pocziwe i zdolne, a te wydobyć może i rozwinać umiejętna i kochająca ręka kobiety. Lud nasz największą ufność pokłada w kobiecie, pamiętając z tradycji, że ona (z małym wyjątkiem) zawsze stawała po jego stronie; prostaczek, równie jak dziecko, garnie się zwykle do kobiety, chętniej zwierza jej swe troski i cierpienia, gdyż odczuwa w niej serce.

Stać się wzorową nauczycielką ludu, to jest umieć go oświecać właściwie, umoralniać, uczyć pracy, poszanowania cudzej własności, oraz umiejętności w ulepszaniu swojej, odciągać go od od pijaństwa, zaradzać lichwie przez nakłanianie do wzajemnej pomocy — oto trudne, lecz wzniosłe zadanie kobiety naszej. Jeśli tak piękny wzór pod tym względem do naśladowania dają nam kobiety innych narodowości np. w Ameryce i Norwegii, gdzie nauczycielki ludowe tak wielkie już położyły zasługi, dla czegoż my nie umiemy się zdobyć na tyle obywatelskości i na to tak konieczne poczucie sprawiedliwości, za pomocą której spłaciłybyśmy dług święty, dawno już zaciągnięty przez praociców naszych, w zaniedbaniu oświaty wiejskiego ludu? Zapewne nie mamy na to dróg utartych jeszcze, a przyzwyczajeni chodzić po dobrze udeptanych ścieżkach, zapominamy, że i te już znane, ktoś pierwszy torować musiał. Ktoś pierwszy więc musi wystąpić odważnie, aby rozpocząć to ważne dzieło z godłem i miłością. Zbawiciela, który tak bardzo ukochał maluczkich.

Niech więc panienki niemające, kształcące się poważnie na nauczycielki domowe, dziś już zbyt liczne, zwrócić się w stronę, stojącą dla nich otworem, a którą zaznaczyć mogą działalnością zacną i rozumną, bo na nią stać nasze kobiety. Nauczycielki ludowe, mniej uposażone materialnie od domowych, w zamian za to mieć będą większą niezależność, swój własny kącik, tak bardzo pożądany przez każdego człowieka i możność bardziej samoistnego, szerszego działania, co niewątpliwie popchnie je na drogę wiedzy i czynów, w których pomimo najlepszych chęci i częstokroć zdolności nauczycielka domowa jest skrepowana przez to, że naginać się musi dla kawałka chleba do przekonań coraz to innych, tracąc często coraz to bardziej swą indywidualność. Chodzi głównie o to, aby nauczycielka ludowa uznana została przez wyższe społeczeństwo niejako za apostołkę i jako taka właściwie też była uważana; niepodobna bowiem wymagać od pojedynczych jednostek, niezasilanych poparciem ogółu wykształconego, by potrafiły wszystko wysnuć z siebie i utrzymać się zawsze na przynależnej wysokości.

Serdecznie przemawiam tedy do młodego pokolenia, niech ono, postarawszy się zdobyć wiedzę w tym kierunku

potrzebną, przejmie się całą duszą chęcią służenia ojczyźnie na tej niwie, dotąd odłogiem leżącej, na której uczciwą i umiejętną ręką zasiane ziarno stokrotny plon wyda. A praca ta, połączona z pracą ziemianek, wzniesie niezawodnie drobnymi rękami wał nieprzebyty dla germańskich zabiegów.

Amelia C.

PLACZ ZE MNĄ

Po łące kwicistej nad brzegiem strumienia
Szło dziewczę, rwąc kwiaty urocze,
Nad główką się krucze zwiły warkocze,
Nadobne usteczka ściał anioł milczenia,
A oczki tak smutno patrzyły przed siebie,
Że — zda się — wnet leż im potrzeba,
To spoczną na kwiatach, to gonią po niebie,
Chwytając, co smutne i z ziemi i z nieba.

Dzieweczko! dziecino! tak cudny świat Boży,
Wszak łąka kwiatami się śmieje,
Wszak strumyk tak czysty i niebo jaśnieje,
Do śmiechu stworzony buziaczek twój hoży:
A w oczach twych ciemnych przebija żaloba,
Choć nie ma żaloby w sukience.
Czy w chacie twej boleść? czy nędra? choroba?
Czyż serca kochanie złożyła w trumienne?

Ty mówisz, że smutna, dziewczyna odrzeczę,
I ludzie naokół to gwarzą,
Choć słowa ich ogniem na duszy mi żarzą,
To prawda, co mówią, więc ludziom nie przeczę.
Ach! jabym tak chciała weselszą być trochę
I trzpiotką, jak inne dziewczeczki,
Co śmieszki z nich takie rozkoszne i płocze,
Wesołe na ustach wciąż mają piosneczki.

Więc nieraz je pytam i błagam ze łzami:
Ach! dajcie kruszynę wesela!
Wszak kto się tu szczęściem swem z bliźnim podziela,
Z tym w niebie podziela Anieli się sami.
I nieraz, gdy patrzę w błękitne ich oczy,
To boleść za serce mię chwyta,
Bo czemuż, choć jutrznia swe blaski roztoczy,
Mnie ziemia się zdaje żalobą spowita
I w niemej boleści stojąca przede mną,
Wołając: dziewczeczko! płacz ze mną, płacz ze mną!

I czemuż, gdy gonię po nieba lazurze,
To zaraz się chmurka nawinie —
I gwiazdka w pomroce wieczornej wraz ginie,
Gdy wzniosłe stęśniony wzrok na nią ku górze. —
I czemuż, w śpiew ptasząt gdy wsłucham się z dala,
To któryś tak pełen tęsknoty,
Tak skarży się duszy i sercu użala,
Że — zda się — on śpiewa na grobie sieroty,
Co w otchłań kurhanu odeszła już ciemną —
I woła: dziewczyno! płacz ze mną, płacz ze mną! —

I czemuż, gdy rankiem wybiegnę na pola,
To widzę leż krocie po ziemi...
Choć ludzie je zowią perłami srebrnymi,
To ku mnie z nich ludzka wygląda niedola.
A skoro tam patrzę, gdzie dzionek się zniża
I łuna zachodu przebiega,
To widzę rozpięte ramiona w dal krzyża,
Co ciemny na krwawem tle niebios odbija,
I cierpiąc nad światą niedolą tajemną,
Zda wołać się: dziecie! płacz ze mną, płacz ze mną!

Więc czyż ja wesołą i śmieszką być mogę,
Gdy wszystko o leżki się prosi?
Cichutko tak mijam żalobną mą drogę,
A jednak wiatr bóle i troski mi znosi.

A kiedy czasami boleści zbyt wiele
 Pograżę duszyczkę w noc ciemną,
 To wołam: na pomoc! o! smutku Aniele,
 Pójdź do mnie! płacz ze mną, płacz ze mną! —

Maryja Szuman.

MALARSTWO I POEZJA

przez

K. Faleńskiego.

Ten, kto pierwszy porównał malarstwo z poezją, był to człowiek delikatnego poczucia. Dostrzegł on, że obie te umiejętności w podobny sobie sposób oddziaływały na niego, odczuł, iż obiedwie uobecniają rzeczy nieobecne, że pozór za rzeczywistość przedstawiają, że obie wprowadzają w kraje uludy, wreszcie, że ta podróż umysłu sprawia pewną przyjemność. — Drugi po nim starał się już wnikać w przyczynę tej przyjemności i wewnętrznego zadowolenia i dopatrywał, że one w obu tych umiejętnościach z jednego płyną źródła. Piękno, którego pojęcie czerpiemy zrazu z materyalnych przedmiotów, stoi pod pewnymi prawidłami, a te do wielu rzeczy zastosować się dadzą, między innymi do działań, myśli i form, pod jakimi występują. — Ktoś trzeci nareszcie, rozważając w tych prawidłach stosunkowy podział ich i doniosłość, zauważył, że jedno z nich przeważa w malarstwie, inne w poezji.

Pierwszy z tych trzech badaczy był amatorem, drugi filozofem, trzeci krytykiem. Dwaj pierwsi nie tak łatwo pobłądzić mogli. Amator w swym poczuciu, filozof w rozumowaniach. Inaczej rzecz się ma z krytykiem. — Jego poglądy polegają przeważnie na trafności stosowania prawideł, rządzących pięknem, do pojedynczych zawsze wypadków, a po wszystkie czasy na dziesięciu jednego zalewają krytyka spotykamy z bystrym i trzeźwym sądem.

W starożytności istniał w zatraconych pismach Appellea i Protogeneza: Traktat malarzy o ich sztuce. Jeżeli w nim przepisy z istniejących już dla poezji prawideł ustanowione i wyjaśnione zostały, orzec naprzód można, że cechowały je ścisłość i trzeźwość poglądów, jakie dziś jeszcze w Arystotelesie, Ciceronie, Horacym, Kwintylianie uznać musimy, kiedy ci w swych dziełach zasady malarstwa do wymowy i krasomówstwa przenoszą i stosują. — Główną bowiem starożytnych wyższością pozostanie to, że w niczem nie przesadzali. Ani zbyt mało, ani za wiele było ich hasłem.

Simonides, którego autor Laokoona Wolterem starożytności mianuje, wyrzekł wprawdzie, że „malarstwo tak jest niema poezją, jak poezja mówiącem malarstwem“, ale ta błyskotliwa antyteza po bliższem wpatrzeniu się ukazała, właściwie mówiąc, wyskok dowcipu owego greckiego Woltera, nie zostawszy nigdy dla artyzmu dogmatem. To też i starożytni zastrzegali się najuroczyściej przeciw nieomyślności takiego sofizmu. Mimo to wielu z nowszych krytyków, jakby pomiędzy malarstwem a poezją żadnej demarkacyjnej nie było linii, z samego ich między sobą podobieństwa w najpełniejszym przekonaniu wywnioskowało niestworzone rzeczy, usiłując to wtłaczać poezją w malarstwa ramy, to znowu dla malarstwa cały świat poezji stawiać otworem.

Wartość każdej z tych umiejętności, wolno i do malarstwa, i do poezji się podoba lub niepodoba w jednej, musi się i do malarstwa, i do poezji stosować; stąd pochodzą też ich lekcjami zakłada zawsze w nieodwołalnym tonie wypowiedane wyroki, że „których coby było zboczeniem w jednej, za nieprzebaczalny błąd drugiej poczytują; stosownie do tego, czy z poezji więcej, czy z malarstwa czerpią natchnienia.

Dla osłabienia szkodliwego, z fałszywych pojęć wypływającego wpływu na artyzm Lessing pisał Laokoona, rozbierając głównie teorie Winkelmanna „o Sztuce u Sta-

rożytnych.“ Na wstępie samym uznaje on całą ważność wygłoszonej przez niego zasady następującej: „Panującą cechą w arcydziełach starożytnego malarstwa i rzeźbiarstwa jest szlachetna prostota i spokojna wielkość w postawach i w całym wyrazie. Jako głębie morza wśród najgroźniejszych burz, wstrząsających jego powierzchnią, pozostają spokojnymi, tak również postaci greckiej sztuki noszą wyraz wzniosłego, niezachmurzonego niczem spokoju duszy.“

Wykwintny gust Greków sprawiał zapewne, że ich artyści piękno tylko i to skończone przedstawiali. Wszystko to, co do podrzędnych liczyło się piękności, było dla nich jedynie rodzajem ćwiczeń w chwilach wolnych dla zachęty, lub wykształcenia talentu.

Malarze gminnych, wstrętnych, a nawet zbyt powsz-dnich przedmiotów, jak scen karczemnych, brudnych golarzy wazyw kuchennych, choć je nawet z zamiłowaniem dla ślajszych niderlandzkich szkół wykończali, żyli powszechnie w niedostatku, a nawet nienader pochlebny przydomek Ryparografów (malujących błoto) otrzymali. U Teban miało prawo, zakazujące pod surową karą naśladowa w artyzmie wszystkiego, co dla ludzi dobrego smaku wstrętnem.

Każdy zwycięzca na igrzyskach olimpijskich miał wo do posagu, ale do wizerunku tylko ten, kto trzynny pozyskał wieniec. Portretów w ogólności mało malow Protogenes przy zapłacie za portret matki Arystote otrzymał od niego poradę większej nagrody, raczej czyni Aleksandra Wielkiego malował; na tych wiem cały świat się pozna i one też do późnej po ności przejść powinny.

Ów powyżej wspomniany dogmat sztuki, że w ryalnym, równie jak duchowym świecie, godnem jej niem być powinno naśladowanie skończonego pi zmuszał artystów do łagodzenia w wyrazie twarzy się mających namiętności. Stąd też to zapewne ni śledzono dotąd wyobrażeń Furi ani w rzeźbiarstwa, a larstwa pomnikach, przez Pliniusza i Pauzanasza w nionych. Ciężką, niewysłowioną boleść albo ukry albo do wyrazu smutku niżało. Zobaczmy, jak Tyr w swoim obrazie, przedstawiającym ofiarę Ifigenii, z zał się z tego zadania. Rozdzielając na wszystkich tomnych temu straszemu obrzędowi stopień głę smutku, ukrył twarz najwięcej z nich bolejącego ojca dla niej wyrazu znaleźć nie mógł. Zostawił odga widzom, na co się w sztuce zdobyć nie zdołał. Tym wybierał wprawdzie przedmioty najokropniejszych w dzieciobójca Medea, Ajax w szaleństwie, były to wniesze jego pędzla utwory; ale z przedsta ich opisu był on niezaprzeczenie mistrzem w pojęci konaniu faz, w których widz woli raczej do m się ostateczności, niż ją widzieć. Dla swojej np. Med brał chwilę nie tę, w której ona morduje j dzieci, ale owę przemijającą, kiedy jeszcze przed niem zbrodni stacza ostatnią walkę między nu w niej uczuciem zazdrości a macierzyńską miłością.

Tak głęboko umiejętne pojęcie sztuki i wglę w duszę patrzących zapewniało Tymomachowi i i wyższość nieśmiertelną nad innym, znamienitym który w swojej Medei samą katastrofę przedstawił przedstawił on także nie w chwili szalu, w której trzody była i owiec w przekonaniu, że na ludziach t ale kiedy po tem wysileniu odpoczywa i układa samobójstwa, czyli według wyrażenia Homera „sko bie postanawia.“

Pojęcie ideału sztuki w skończonej, niezmi kności wyklucza również z sfer rzeźby i malar brazenie Wenery w gniewie tak, jak ją Statius Flaccus, poeci, przedstawili. — Ci poeci rzymscy już wszakże do epoki skażonego smaku, zagi mieszkanców Lemnos i zemścić się pragnącą wy w olbrzymiej, dzikiej postaci, z płomieniem li coną włosami ręką porywa pochodnię i zarzuca zasłonę, siada nie na swój rydwan, gołębią ale na ponury obłok i z hukem i trzaskiem

Takie przeistoczenie mogło jeszcze ująć w poezji, bo dla niej Venus była nie tylko Symbolem, ale i rzeczywistą boginią miłości, i w tym charakterze, jako uosobiony przymiot ludzi, mogła mieć ich indywidualne wady i ułomności. Ale niechżeby i sztuka malarstwa, w której symbolikę uosabia tylko abstrakcja, chciała powyższy obraz poezji przyswoić sobie, nie potrzebowałaby przede wszystkim podpiąć, że to Venus? Inaczej któżby w bogini wdzięków aczej Furi nie dopatrywał?

(Dokończenie nastąpi.)

BRACIA CIOTECZNI.

Przekład z języka włoskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Pozwól mi skończyć! — mówił błagalnie, przeaczysz mi, spodziewam się, złe przykłady, które ci dałem, ten długi opór zbawiennym usiłowaniom, a wreszcie to wszystko, co zniosłaś dla mnie!... Może jeszcze zdołam naprawić to złe trochę, ale jeśli.... zabraknie czasu, ty, łziecie szlachetne, policzysz i moję chęć dobrą, prawda?

— Och! tak... odpowiedziała wśród łkania.

— Nie płacz, dziecko, Bóg jest miłosierny. Całą wieczność spędzimy razem.

— Ojcie! mój ojcie! — szeptała dziewczę, tuląc się do jego ramion, jakby uściskiem swoim mogła powstrzymać to drogie życie. Płakali razem chwil kilka, potem Julia, ostrząsając się pierwsza z wzruszenia:

— Co jeszcze zrobić mieliśmy? spytała ojca.

— Słuchaj — odpowiedział z wysileniem, będzie to ciebie kosztować, ach! i mnie.... ale być musi zadość uczynienie; Bóg się go domaga i wypełnić trzeba.... jak bądź trudne.

— Niezawodnie, mój ojcie, jestem też gotowa na wszystko.

— Ja pisać nie mogę, ty więc musisz napisać w moim imieniu.... nie, raczej podyktować ci muszę list do twojej.... do mojej żony, oznajmić jej śmierć Menikuczia, noję spowiedź i.... i....

— Rozumiem, odparło dziewczę dbałe, aby oszczędzić przykrego wyznania, dyktuj, mój ojcie, dołączę tylko parę w od siebie, niech nas Bóg wspomóż.

Grzegorz westchnął, a po chwili milczenia głosem drżącym, jakby każde słowo było sztyłem dla serca, począł dyktować list do żony, w którym było tyle uczucia chrześcijańskiej pokory i uznania własnej winy, że na to wezwanie i najzimniejszy rękęby podał. Podpisał go własnoręcznie.

Późno wieczorem nadeszła odpowiedź, pisał ją wuj Makary: „Zanadto znamy cię oboje, ja i żona twoja, aby twoim uwierzyć słówkom. Wilk zmienił skórę, umierasz z głodu, ty i ta twoja pyszna córka i oto największy powód twego nawrócenia. Wiedz jednak, że moja siostrzenica nogą twojego nie przestąpi progu. Makary.”

— Julio! tak mi odpowiadają? Więc ona nie chce....

— Nie ona wprost, wuj w jej imieniu przemawia.

— Otóż, co zyskałem na tem, nowe upokorzenie!

— I myślisz, że to mało, mój ojcie? Zrównałeś się z Tym, którego masz przyjąć jutro.

Reszta wieczoru przeszła na czytaniu ewangelii św. tego ucznia miłości, i kilku stron Naśladowa Grzegorz słuchał z natężoną uwagą i z żywym.

XVII.

odząca jutrzeńka dnia następnego zastała Julię już gotowaniem do uroczystości ojca, jak ją nazwała.

Życzeniem Grzegorza było powrócić na dzień ten do swego pokoju, który tak długo dzielił z synkiem i gdzie zdawało mu się jeszcze czuć jego tchnienie. Na łożu, zasłanem świeżutką bielizną, pocerowaną i łataną, prawda, ogromnie, ale taką czystutką, lśniącą, żeby się książęcego nie powstydziała łoża — chory pół siedział, pół leżał, wsparty poduszkami. Zajęta Julia wchodziła i wychodziła co chwilę.

— Co robisz? spytał wreszcie, słysząc, że wkłada kluczyk w zamek szafy ukrytej:

— Jeśli pozwolisz, ojcie, wyjmę twoją Madonnę, aby ją umieścić nad stolikiem, który na przyjęcie świętego gościa przysposobiłam. Och! jak ona cudnie piękna dzisiaj, wołało dziewczę, wyjmując płótno z uniesieniem. Zdawałoby się mogło, jakby cały spokój i szczęście nieskończone raju na tem się czole boskiem odbiło. Chcesz je ucieść pocałunkiem, ojcie?

— Tak, odpowiedział, potem dodał wzruszony:

A później, później, dasz mi do pocałowania i twoje? Będzie to pierwszy od twego powrotu pocałunek ojcowski.... i może ostatni.

— O! nie mów tak, ojcie mój drogi!... Ale dla czego później, a nie teraz? pytała, ściskając go, lecz Grzegorz odpowiedział z rodzajem przestachu, robiąc ruch, jakby ją chciał odpychać.

— Nie, dziecko drogie, nie!... Później, kiedy dotkniesz ciała Boga oczyści moje usta, wtedy dopiero będę śmiało niemi dotknąć twoje czyste czoło, prędzej nie.... wydaje mi się, że bym zbrudził ciebie.

— Jednak całowałeś Madonnę, mój ojcie, zauważyła z naiwną prostotą.

— Bo Jej kąt nasz nie dosięga, nasza nędza Jej nie płami. Z temi słowami pocałował cudne wyobrażenie, Julia miała je usunąć, wstrzymała się jednak, jakby wiedzioną nagłym natchnieniem.

— A drugi pocałunek tutaj, dodała, przysuwając do ust ojca kraj płótna, tu, na to imię....

Drżenie, nie rozrównienie pewno, poruszyło wybladłe usta Grzegorza, kiedy się dotknęły wskazanego miejsca.

Nastąpiła chwila skupienia, poczem dał się słyszeć oddalony i równy głos dzwonek — i Gość najwyższy nawiedził siedzibę smutku i niedoli.

Po spełnionym akcie chory odzyskał zupełny spokój, trwał w niemem skupieniu, bez ruchu prawie. W pół godziny potem wrócił O. Ambroży.

— Co robi mój drogi chory? spytał wychodzącej mu naprzeciw Julii.

— Modli się jeszcze, a jest tak spokojny, że zdaje się, jakby spał, gdyby nie łaż gorąca, co mu od chwili do chwili z oczu spada.

— Pójdźmy do niego, nie trzeba zbytniego rozrównienia, mogłoby mu szkodzić.

Weszli. Kapłan, kładąc z pieczyotą rękę na głowie chorego:

— Drogi Grzegorzu, — powiedział, prawda, że teraz pojednany z Bogiem i ludźmi, czujesz błogi spokój w duszy?

— O! tak! odpowiedział z uśmiechem. W tych kilku chwilach modlitwy zdawało mi się, że innem żyję życiem.

— Musiała ci przejść mile ta godzina, kiedy się kilku chwilami zdaje.

— Przez kilka minut nadzwyczajnem wysileniem fantazy wydało mi się widzieć czarujący chór aniołów, w którym rozpoznałem twarze znane: mojej matki, Menikuczia, a pomiędzy temi drogiemi obrazami najdroższy z wszystkich — kończył głosem drżącym — chł... mojej Julii! wszyscy mnie otaczali kołem, uśmiechali się do mnie.

— Ale ja pozostałam! przerwało dziewczę.

— Tak, mój aniele, choć oczy zamyka, serce czuje twoją obecność. Ty pozostajesz, dopóki isierka życia tlić będzie w moim sercu. Wszakże, a nawet.... potem.... kiedy mi zalejesz powieki....

— Ojcie! zlituj się, ojcie! przerwała błagalnie.

— Uspokój się, biedne dziecko moje. Miejmy nadzieję, że Bóg zachowa mnie jeszcze.... a co bądź, da nam siłę

na wszystko, co ześle.... Nie mówmy o tem, kiedy cię to smuci. Dziś dzień uroczysty! Pójdź po pocałunek ojcowski i błogosławieństwo, dopóki jeszcze usta moje i ręce wilgotne pomazaniem olejów świętych.

Julia pochyliła do ust ojca czoło jasne, czyste, jak kielich lilii, i Grzegorz złożył pocałunek na niem. Przykłęka potem, a on, kładąc lewą rękę na jej pochyloną głowę, podniósł prawą w górę i mówił głosem, któremu napróżno chciał nadać spokój:

— Niech ci Bóg błogosławi, jak ja ci błogosławie! Błogosławieństwo twego ojca umiera.... błogosławieństwo twego ojca niechaj ci towarzyszy w całym życiu.... niech ci będzie tarczą i ochroną... niech cię zachowa zawsze taką, jak jesteś, niech cię uczyni dla drugich tem, czem dla mnie byłeś, aniołem pociechy i pokoju.... niech sprawi, aby ci inni kochali, jak ja cię kocham.... Ale nie, to niepodobieństwem....

Biedny ojciec powstrzymać się dłużej nie mógł, wybuchnął płaczem głośnym i Julia podniosła się piękna łzami ojca, co połyskiwały, jak brylanty na złotych jej włosach.

Przez kilka dni następnych Julia się cieszyła spokojem i szczęściem ojca, który się zmienił, jakby w innego człowieka.

Na zapytanie Julii, czy prosił Boga o umniejszenie cierpień:

— Nie, dziecko, odpowiedział z uśmiechem, cierpiełem źle tak długo, niechaj trochę dobrze pocierpie.

I cierpiał dobrze, ale mało. Choroba się pogorszyła tak, że wyleczenia nie było nadziei. Noce bezsenne, drżenia, gorączki, maligna, wystawiały bez przerwy na próbę tę heroiczną cierpliwość, bywało, dniami całymi bezprzestanny kurcz w gardle nie dał choremu i kroplą wody się pokrzepić, ani słowa przemówić. Zaledwie czuł, że mu nieco lepiej, przywoływał swoje drogie dziecko i mówił z uśmiechem: Jaki Bóg dobry! znów ulgi trochę, trzeba się nią nacieszyć.

Słusznie ojciec Ambroży mógł to łożo nazwać katedrą rezygnacji i pokory.

Jednego poranku, w chwili, kiedy po nocy okropnej sen zaczął kleić powieki chorego, dało się słyszeć gwałtowne szarpnięcie dzwonka. Julia poszła otworzyć i nie mogła ukryć zniecierpliwienia na widok inspektora, który tak przykrym był gościem pierwszego dnia jej przyjazdu do Florencji. Z niechęcią oznajmiła go ojcu i zdziwiła się mało, że wiadomość ta inne, niż się spodziewała, zrobiła wrażenie.

— Och! on... zawołał Grzegorz, jakby chodziło o sobę znakomitą — niech wejdzie.

Julia poprosiła inspektora, który jednak wstrzymał się na progu izdebki i ledwie spojrział na chorego, uważając, śnać, że wie dosyć, zwrócił się ku wyjściu z słowami:

— Więcej widzieć nie potrzebuję.

Wstrzymał go chory.

— Panie, słów parę, jeśli pozwolisz.

— Będzie źle znowu... mruknął z miną nieszczęśliwą inspektor; kiedy się jednak odwrócił do Grzegorza, ujrzał wyraz twarzy jego tak różny od tego, jakiego się spodziewał, że udobruchany spytał, czego żąda.

— Chęć tylko przeprosić pana za te słowa cierpkie, które mu rzuciłem w chwili rozdrażnienia — odparł Grzegorz z szlachetną prostotą.

Inspektor zdawał się zdumiony słowami niespodziewanymi; ale po pierwszej chwili zdziwienia nastąpił uśmiech niedowierzania, potem chwila namysłu, potem wstrząsając głową:

— Hm! mruknął — bieda przytarła rogów.

Na tę miłą rzeczną uwagę Grzegorz nie oburzył się, ani zakłócając nie odparł głosem, jak dawniej, łagodnym:

— Przyjmę pan więc przeproszenie moje?

— Pewno, odpowiedział inspektor zaambarasowany, cieszy mnie, jeśli nieszczęścia pana wytrzęźwiły, choćby nie więcej, to przez wzgląd na to biedne dziecko. Rzeczywiście po dwóch miesiącach niełatwo ją poznać.

— Mój Boże! i dlaczego? — spytał z przestachem biedny ojciec.

— Zmizerniała, wycieńczona... odparł inspektor, nie zważając na znaki dziewczęcia — trzeba nie mieć serca, żeby ją poniewierać.

Julia chciała przeczyć, ale Grzegorz wybuchnął z rozpaczą:

— Ja? ja?... ale to potwarz okrutna!... Pan chyba nie wiesz, co to miłość ojca!

Twarz rubasznego inspektora zmieniła się nagle, znikł z niej wyraz zimny, oczy się łzami napełniły: O! Klelio moja! wyszepnął głosem drżącym.

— Więc i pan masz córkę? — spytał Grzegorz, podnosząc głowę z wyrazem zajęcia.

— Miałem! młodą... piękną, czułą, jak twoja!...

— I straciłeś ją pan? Biedny ojcie!... zawołał z żywym współczuciem i wychudłą rękę wyciągnął do osieroczonego rodzica: Przebacz pan słowa niebaczne.

Inspektor uściśnął podaną rękę i wyszedł wzruszony głęboko.

XVIII.

Bogaty zegar, zdobiący marmurowy komin eleganckiego salonu, wybił godzinę piątą; w domu Markizy A. oczekiwano dwóch osób: barona di Rosedas i nowej kameryery, a raczej towarzyszki młodej Matyldy. Baronowi naprzeciw wybiegła stara dama z większym pospiechem, jeśli nie z większą radością, jak własna jego córka. To przybycie i jego następstwa zdawały się przedmiotem rozmowy całej prawie służby, zgromadzonej w przedpokoju. Różne były przypuszczenia, ale wniosek ten sam zawsze: niedługo berło rządów domowych w inne przejdzie ręce, a Karol Delorme, dziedzic niezmiernej fortuny i tytułów starej ciotki, połączy je z tytułami i bogactwami wyniosłej Hiszpanki.

— A wtenczas — konkludował domowy kucharz, skończy się panowanie zarozumiałej Betiny, co tak zręcznie wodząc za nos starą markizę, chciałyby i nam imponować!

— Ba, to się dopiero pokaże — dowodził z miną poważną Hieronim, kamerdyner, mogłoby być lepiej, ale może być i gorzej.

— Czemu gorzej? — zawołał trzynastoletni Janek, gorzej być nie może. Pomiedzy temi dwiema babami umrzećby trzeba ze złości, młodzi państwo inne zaprowadzą życie.

— Ciekawym, czemu ci tak przypadają do gustu, zawołał stary Hieronim, czy dlatego, że młodzi i piękni oboje?

— Już ciż, mój wuju, odpowiedział śmiały chłopak, i oko domaga się swego, ale ważniejsze, żeby byli dobrzy i mądrzy. On, wiem, jeśli nie najszlachetniejszy pod słońcem, to rękę sobie dam uciąć. Pamiętacie, jak będąc małym, chodziłem do niego? Uczył mnie czytać, a kiedy matka moja powiedziała, że byłem grzeczny, całował mnie w policzek, mówiąc: Dobrze, dobrze, mój Janku, pan Jezus kocha dobre dzieci. Kiedym co zbroił, pokazywał mi niechęć i odselał bez pocałunku, ale okropniej było, kiedy mnie na kłamstwie schwycił. Próżno płakałem, przeproszałem, widzieć mnie nie chciał i to dni kilka. No, i pozbyłem się brzydkiej przywary i pocałunki jego nie mijały mnie nigdy; — dawał suknie i ubrania.

— Tak... on, ale ona? — zauważył Hieronim.

— Och! ona! — zawołał chłopak, wzruszając ramionami, nie taka przecież złoźnica, jak Betina, ani grymasna jak markiza.

Nagle pociągnięcie dzwonka wybawiło Janka od nowej bury wujaszka. Kamerdyner p. Karola oddał bilet, który wręczono Betinie. Karol donosił paniom, że pomimo umowy połączyć się z niemi na wizycie nie może.

Uwagi i domysły rozpoczęły się na nowo, kiedy po chwili Janek, dosłyszawszy nieśmiały odgłos dzwonka, pobiegł otworzyć.

Weszła młoda dziewczyna blada, czarno ubrana, w rękę trzymała szerokie pudełko i jakieś zawiniątko. Zawiedziona przed Betinę, skłoniła się nieśmiało.

— Dzień dobry, odpowiedziała stara z uśmiechem po-

gardliwym i protekcyjnym. — To pewno szkatułka z kosztownościami, co panna trzymasz w ręku?

— Tak jest, — odpowiedziało dziewczę, z dziwnym poruszeniem.

— To mi się podoba, odpowiedziała Betina tym samym, co dawniej, tonem. Ale tu nikt nie skradnie, trzeba je było zostawić z innemi rzeczami w przedpokoju.

— Z jakimi rzeczami, pani?

— No, z kuframi, walizkami...

— Mam wszystko przy sobie — odpowiedziała panienka z uśmiechem smutnym,

— A suknie? bielizna?

— To wszystko, co na mnie.

— Czy być może?... i ojciec wyprawia pannę z domu gołą prawie?

— Mój ojciec? — powtórzyła drżąca — i strumień łez zalał jej powieki, czerwone i nabrzmiałe od płaczu.

— Ach! umarł pewnie? spytała obojętnie kobieta.

— O! Boże mój! nie... ale...

— Czego więc płakać! — przerwała kwaśno stara. Pamiętaj to sobie, moje dziecko, płaczu nikt nie lubi, a najmniej markiza, pani twoja.

— To pani nie jesteś markizą? — spytała naiwnie panienka.

Uśmiech zadowolenia przebiegł twarz starej kameryery i gładząc ręką piękną, jedwabną suknię swoją, mówiła udobruchana.

— Mój ojciec markizem nie był, to prawda, ale pochodził z rodziny, która się liczy do pierwszych w kraju; dobry ród z twarzy czytać można.

Wtem dał się słyszeć turkot powozu, Betina zwróciła się.

— Idź pani do swego pokoju; taką, jak wyglądasz teraz, nie lubiłaby cię markiza pokazać gościom. Janku! zaprowadź panienkę.

Chłopak zdawał się zadowolony z tego polecenia i zawiódł nowoprzybyłą do pokoju, w którym prostota nie wyłączała wygody i ładu. W oczach smutnych dziewczyny nie odbił się jednak spokój i zadowolenie, a Janek, który z ciekawością, ale razem z współczuciem i sympatią śledził każdy ruch młodej towarzyszkii, wyczytał w jej oku smutny wyraz rozpacz.

— Zdaje się, że tutaj niczego nie brak, mówił spoglądając na nią swojemi oczami żywemi i zuchwałemi, które jednak umiały wyrażać słodycz i uczucie; zdaje się, że jest wszystko, a jednak... a jednak nie dostaje czegoś! — wiem, o! wiem!... Kiedy byłem mały i mieszkaliśmy z państwem na wsi, znalazłem raz gniazdko słowika. Co za uciecha! Najpiękniejsze wybieram ptaszkę, wsadzam w prześliczną klatkę, obsypuję ziarnkami, muszkami, wszystkim, co wymyślić mogłem. Napróżno!... Mój ptaszek przestał śpiewać, tracił apetyt — a w kilka dni płakałem gorzkimi łzami nad nieżywą ptaszką. Wtedy przechodził pan Karol, spytał o powód łez moich i pamiętam, jak dziś, co mi powiedział:

„Zastanów się, Janku, czy nie lepiejbyś był zrobił, zostawiając ptaszka, jak go umieściła Opatrzność? Tobie się zdawało, żeś go uszczęśliwił w twojej pięknej klatce, ale zapomniałeś, żeś mu wziął wolność i rodzinę — a nad to nie ma nic droższego na świecie.“

— Litujesz się nade mną? — spytało dziewczę, które z uwagą słuchało smutnej historii ptaszka.

— Z głębi duszy.

— Niech ci Bóg nagrodzi! — zawołała z uczuciem wdzięczności, które najlepszą mogło być miarą, jaką ulgę zboliałemu sercu przyniosły te słowa przyjazne.

Tymczasem markiza wprowadziła do świetnego salonu swego gościa, barona di Rosedas. Był to człowiek postaci pięknej, nie zdradzający nawet lat czterdziestu; można go było wziąć raczej za brata, niżeli za ojca świetnej Matyldy. Ruchy i wykształcenie znakowały w nim byłego salonowca, w obęściu jednak i fizjonomii miał coś, co mroziło każdy objaw uczucia, czyniło rozmowę jego zimną i bezbarwną. Dziwne to wrażenie udzielało się każdemu, kto

go znał bliżej, najwięcej zaś młodziutkiej córce, która rzadko wobec ojca przybierała swobodę.

W przedpokoju wręczyła Betina bilet Karola swej pani, która podała go młodej przyjaciółce. Matylda z lekkim uśmiechem czytała następującą kartkę:

„Droga Ciociu, wychodziłem właśnie, aby się stawić według umowy u Ciebie, kiedy nadbiegł we łzach starszy synek naszego odźwiernego — a jest tam tego ośmiorgo. Dzieciak wylekły błagał, abym szedł do ojca, który padł nieżywy. Zbiegłem w jednej sekundzie, biedak w istocie leży bez duszy prawie. Te słów parę przy jego piśmie łóżku. To moje uniewinnienie, dla czego nie spieszę powitać Twoich gości. Że czasem nad towarzystwo osób najdroższych przekładam biedaków, nie wezmiesz mi za złe, ani im pozazdrościsz, myślę — i ufam Twojej wspaniałomyślności.“

Karol.

To ostatnie zdanie, podkreślone jeszcze, zdawało się oduścić do Matyldy raczej, niżeli do starej ciotki. Czyż nie o niej myślał młodzieniec, kiedy kreślił tę rzewną wymówkę?

— Nie, zazdrosną o biednych nie będę nigdy — pomyślała — ale... gdyby inna kobieta...

Umysł Matyldy odepchnął prędko myśl, co stanęła, jak widmo straszliwe; ale tem nagłym odkryciem, które czasem ukazuje duszy ludzkiej śpiące zarodki przyszłych namiętności poczuła, jakim szaleem zazdrość opanować może.

Do obiadu zostawała jeszcze godzina. Markiza poprosiła gości, aby tego czasu użyli na wypoczynek w swoich pokojach. Betina towarzyszyła baronównie do pokoi, które młoda pani od paru miesięcy zwykła zwać swojemi.

— Pani... zaczęła — jej ekscelencya, pani markiza, poleciła mi zawiadomić cię...

— Co za ton uroczysty!... prędzej! o co chodzi?

— Że nowa towarzyszka, która, jak pani wie...

— Po co mi mówić to, o czem wiem, — przerwała młoda dama, która do starej kameryery czuła wyraźną antypatyą. Przyszło więc to dobre dziewczę?...

— Dobre, to jest podług p. Karola, ale jeśli pani zechce sądzić podług swojej normy...

— Nikomu nie zdaję sprawy z mojego sposobu sądzenia, a moim kameryerom najmniej. — Czy przyszła tamta?

— Tak, pani...

— Powinna być tutaj, — przerwała baronówna i nacisnęła kławkę przyległego pokoju.

— Wyjdź, — proszę, — zawołała, zwracając się do młodego dziewczęcia, które siedziało przy łóżku z czołem na poduszkach opartem.

Na głos pani powstała drżąca, zbliżyła się krokiem chwiejnym.

— Pani... hrabianko... odezwała się biedna, stojąc cała w płomieniach.

Betina patrzyła na nią drwiąco, ale Matylda z uśmiechem dobroliwym:

— Nie, nie, — powiedziała — nazywaj mnie po prostu panią, nie cierpię tytułów.

— Jak pani każe.

— Stoi, jak malowana, — mruzczała stara.

— Czekam rozkazów pani, tłumaczyło się pomieszane dziewczę. — Co mam robić?

— Nic, tylko podnieść oczy na mnie, — mówiła Matylda z uśmiechem. — Zdawałoby się, że się boisz... nie mnie, przynajmniej!...

— O! nie, zdajesz się tak dobrą! — To mówiąc, spojrzała dużej, jasnej, jak błękit nieba, okiem w błyszczącą żrenicę pięknej baronówny, która uprzedzoną na jej korzyść, zadowolona, śnać, z egzaminu, powiedziała dobroliwie:

— Podobasz mi się.

Pomimo to, — wtrąciła z złe hamowaną złością stara — pani markiza nie ścierpi jej w tych łachmanach, musi poczekać, aż jej zrobią ubranie nowe.

— O! temu zaradzić łatwo, otwórz tę szafę... Jak ci imię, moja droga?

— Julia.

— Piękne imię. Zdejmij tę suknię ciemno granatową; w tym kolorze do twarzy blondynkom.

— Zdaje się, że moja obecność zbyt tu jest, — powiedziała stara, zwracając się do odejścia.

— Przeciwnie, bardzo potrzebna, ściągnij, proszę, tę suknię, biedne dziewczę dostać jej nie może.

Betina się nawet nie poruszyła, tylko odparła: — W takim razie, powinna była pozostać z ojcem w szpitalu.

— Wyjdź! — zawołała oburzona Matylda, — nie zniosę, aby kimbądź pomiatano w mojej obecności.

Kameryera wyszła, nie skłoniwszy się nawet, a młoda pani, zwracając się do Julii:

— Czy jesteś chorą rzeczywiście? — spytała z troskliwością.

— Nie pani ... nie myślę, czuję się tylko zmęczoną nieco.

— Biedne dziewczę! ... jest to zawód przykry, dla tego zwłaszcza, kto go nie zna. Bądź odważną, zrobisz wszystko, co mogę, aby ci ulżyć.

— Dziękuję pani, ale nie to mnie przygniało; do pracy i posłuszeństwa nawykłam od dziecka.

— A więc co ci dolega tak bardzo?

— O! pani, mój biedny ojciec...

— Kochasz go bardzo?

Dziewczę spojrzało zdziwione takim pytaniem.

— Czy go kocham?... Przecież mnie pani rozumiesz — i ty masz ojca...

— A on ... czy kocha ciebie? — spytała Matylda z dziwnym zakłopotaniem.

Dwie łzy duże były odpowiedzią na to pytanie.

Baronówna pochyliła twarz w dłonie, pozostała chwil kilka w niemem zamyśleniu. Nagle pod nową myślą podniosła głowę.

— Imię ci Julia — mówiła — masz ojca chorego... masz może także ślicznego braciszka pięcio lub sześciolatniego.

— Miałam go przed kilku dniami, Bóg go zabrał.

— I te jasne warkoczki, jak blask księżycy — mówiła dalej Matylda z uniesieniem. Tak, tak, nie ma wątpliwości!... przypominasz sobie nasze spotkanie w Willi?

— Czy być może! — wykrzyknęła dziewczę osłupiałe z podziwu, — prawda, — dodała po chwili wpatrując się w piękną twarz swojej młodziencej opiekunki — po winnabym była poznać panią! A ten pan Karol, który nie znając mnie, polecał mnie łaskawie, byłżeby ten sam młody, szlachetny...

— Ten sam! — zawołała Matylda z uśmiechem zachwyty, ściskając dłoń dziewczęcia.

W parę godzin potem na bileciku, którym markiza oznajmiła siostrzeńcowi, że nazajutrz z gośćmi spędzą dzień w willi Pauzylipu, dopisywała Matylda:

„Ważne odkrycie... Towarzyszka moja, przez pana polecona, jest ... próbuj pan zgadnąć? „Moja Julia,“ znajoma z Willi.“

XIX.

Nazajutrz około czwartej po południu Karol wchodził do domu swej ciotki i pytał Janka, który mu wybiegł naprzeciw, czy państwo wrócili.

— Nie jeszcze, odpowiedział chłopak, ale pewno powrócą niebawem. Na to brzydkie powietrze komuby się chciało zębami dzwonić!

— Ale co się stało, że ty, latawce, w domu dzisiaj siedzisz; z ochoty, czy z musu?

— Jedną drugie; kazali mi w domu pozostać za karę, ale się temu poddałem z ochotą.

— Mów wyraźniej, co zbroiłes znowu?

— Grzech okropny, mój dobry panie, — odpowiedział z ironiczną powagą dzieciak, — zrobiłem sobie zabawę, żeby uzłościć trochę tę starą zmore...

Spojrzenie surowe Karola przerwało zuchwałę, a śliskie słówko.

— Niec się pan nie gniewa, — bronił się chłopak

z wyrazem szczerzego żalu, — będę już uważał na przyszłość, ale kiedy ten język taki niesforny...

— No, no, dosyć tego, powiedz mi, czemu byłeś rad karze? tak lubisz zabawy.

— Ot, jestem w dobrem towarzystwie. Nowa panienska, pańska protegowana, jak ją nazywa ta ... eh! brzydkie język! ... więc panna Julietta mi się podoba, polubiłem ją od razu, tylko nie wiem, czemu ją pocieszyć

— Pocieszyć ją? jest więc bardzo smutna?

— O! bardzo, choć całymi siłami to kryje. Biedna, ani ust nie otworzy, pracuje ciągle, ale co chwila łąza jej się z oczu potoczy. Chciałem pytać, co jej jest, ale to niedyskretnie przecie, bo gdy spostrzeże, że kto na nią uważa, zaraz przybiera weselszą minę.

— Chwałę ci tę delikatność. Co panna Julia robi w tej chwili?

— Szyje coś; chce ją pan widzieć?

— Tak, jeśli to jej nie przeszkodzi w niczem.

— Och! przysię ją zaraz, niech ją pan wybada. Będzie pan czekał w salonie?

— Nie, zaczekam w bibliotece.

Przeszło kwadrans zajęty był młodzieniec podziwianiem dwóch pięknych, a tak różnych typów kobiecych w poezji Tassa, kiedy przyjsie Julii przerwało poetyczną zadumę.

Arystokratyczny młodzian powstał i skłonił się przed młodą dziewczyną, która, odpowiedziałszy niemem skinieniem, stanęła, jakby w oczekiwaniu jego rozkazów. On wpatrzył się przez chwilę w tę twarz piękną, pełną słodyczy i rezygnacji, potem spostrzegłszy, że jego spojrzenie wywołuje błądy rumieniec, przemówił z uprzejmą prostotą.

— A więc spotykamy się znowu. Któżby to był przewidział tego dnia w Willi?

Julia podniosła wzrok na twarz młodego pana. Była to ta sama fizyonomia dobra, szlachetna, co jej tak wyraźnie utkwiała w pamięci. Chciała odpowiedzieć, podziękować, nie mogła się zdobyć nawet na uśmiech, otworzyć ust, byłaby płaczem wybuchła. Cierpiała okropnie; spostrzegł to Karol.

— Powiedz mi, dobre dziecko, — mówił tonem, który pociągał do ufności, czy lepiej twojemu biednemu ojcu?

Napróżno zbierała wszystkie siły, aby nie zdradzić bólu wewnętrznego, te proste słowa przerwały tamę, wybuchła płaczem gorącym.

— Boże mój, miałożby mu się pogorszyć tak bardzo? dodał młodzieniec.

— Kto to wie... odpowiedziała z rodzajem rozpacz, kto to wie? Mój Boże! rachowałam minutę każdą tej nocy. Och! i on także, i on, niestety! rachować musiał, on, co mnie czekał! Co powie, kiedy dzień znowu upłynie cały! I noc druga... a tej nocy, co się stać może?...

— Uspokój się pani, koł ją Karol, podając krzesło, na które upadła bezsilna. — Jeśli mu przyrzekałeś, że go odwieziesz, dla czego mej ciotki o pozwolenie nie prosiłaś?

— Prosiłam ... ale to za prędko, odpowiedziano mi. Mój Boże! za prędko po dwudziestu godzinach śmiertelnego oczekiwania! ... i nie pozwoliła!

— Czy podobna?... zawołał Karol z źle ukrytem oburzeniem. — Ale czy nie było Matyldy... baronówny di Rosedas? nie mogła się ona wstawić za panią? — dodał z widocznym zakłopotaniem.

— Pewno nie; zresztą ona nie w swoim domu. Byłabym pewno lepiej zrobiła, udając się zaraz do niej; ona taka dobra dla mnie; ale Betina powiedziała mi wczoraj, że nie baronówna, tylko markiza jest panią moją. Zresztą nie wątpiałam o pozwoleniu. Ten zakaz zranił mi serce, taki mnie ból opanował, że nawet nalegać nie miałam siły. A mój biedny ojciec!... Powiedzieli mi, że pójdę jutro... jutro... jeśli zastanę go żywym, jeśli nie zabije go żal... tęsknota!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z WIEDNIA.

Nie czuję się dość kompetentną do wydawania sądu o sztuce malarskiej, ani, wyznać muszę, nie poświęcałam tyle czasu na przejrzanie nowej tutajskiej wystawy, abym mogła pisać o niej z dokładnością potrzebną, chcę jednak podzielić się wrażeniami ogólnymi, wyniesionymi z tego przybytku sztuki tegoczesnej. Wystawa międzynarodowa sztuk pięknych została otwartą d. 1 Kwietnia 1882 r. Inicytywę do niej dały towarzystwa: Wiener Künstler Genossenschaft i Rektorat Akademii Sztuk pięknych. Mecenasi miejscowi złożyli potrzebne fundusze. Gmach Künstlerhausu został powiększony i urządzony odpowiednio. Artyści wszystkich narodowości, oprócz Anglików, porobili liczne przeselki.

Wchodząc z przedsionka po lewej stronie, wstępuje się do oddziału belgijskiego. W pierwszej sali znajduje się 54 obrazów i posągów. Żaden jednak nie uderza silniej wyobraźni treścią przedmiotu; są tu po większej części, obrazki rodzajowe, widoki lub portrety.

Ale w drugiej salce znajduje się obraz wielki Gallait'a p. n.: „Zaraza w Tournay,“ r. 1092., który przykuwa widzów na długo. Widać tam tłumy liczne, czarne, wychudłe, zrozpaczone, idące w procesyi błagalnej; prowadzi je mnich bosi, o twarzy natchnionej, z oczyma pałającymi, zwróconymi w niebo, z krzyżem w dłoni. W pochodzie słania się już ktoś chorobą dotknięty, tam pada w kurczach drugi. Nawet psy wychudłe, również zarażone, padają na drodę, biegnąc przed ludźmi.

Widok okropny, pełen wyrazu i prawdy groźnej. Ani jednej spokojnej twarzy, wszystkie wykrzywione bólem moralnym lub fizycznym, poczerwiałe, zaniedbane stroje, postaci dzikie i pijane z rozpacz. Wszystkie inne obrazy zawieszane obok w liczbie 26-ciu, skromne rozmiarami i myślą, nie mogą zatrzeć wrażenia, wywołanego utworem Gallait'a.

Stąd przechodzi się do oddziału francuskiego.

Artyści francuzcy zajęli aż dziewięć większych i mniejszych sal. Liczba nadesłanych dzieł wynosi 124. Przeważa tu smak Zoli. — Ciała nagich kobiet górują nad myślą głębszą, nad uczuciami szlachetniejszymi. — Z pomiędzy wszystkich najwięcej wabi oczy obraz Hektora Le Roux p. n. „Herkulanum.“ W oddali widać płomienie i dymy, zalewające miasto, pomiędzy uciekającymi pierwszy plan zajmują trzy przelężone kobiety. Jedna z nich omdlała z przerażenia upadła w tył, a dwie, czy siostry jej, czy przyjaciółki, zatrzymują się, aby ją ocucić, wzrok ich jednak zwrócony ku płomieniom, ścigającym je; przestrach sparaliżował członki, odebrał przytomność umysłu. I tu obnażone ciała, ale patrzący odczuwają tylko przerażenie uciekających.

Desiré François Laugée dał obraz, obudzający zgrozę samą, bez piękności poprzedniego. Napis jego: La Question. Na rozpalonem łożu, leży przykrepowany sznurami, z przewiazanymi oczyma, indagowany przez sądy człowiek. Twarz wykrzywiona kurczowo, z otwartych szeroko ust wydobywają się krzyki straszne, ciało czerwone wije się konwulsyjnie, zpod łoża buchają płomienie. — Badający sędziowie, siedząc spokojnie, zapisują w księgi słowa, rzucane w mękach okrutnych. — Patrząc na to, zapytujesz, czy jest zwierzę okrutniejsze od człowieka? Krwiożercze wilki i tygrysy, rzuciwszy się na ofiarę, zadają jej śmierć od razu... Oprócz tych dwóch podoba się i miłe budzi wrażenie obraz Williama Adolfa Bouguereau p. n. „La vierge consolatrice.“ Umarłe dziecko leży na posadzce, matka rozboleła szuka pociechy u Matki Bożej. Święta dziewczica patrzy łagodnie czarnymi oczyma na łkającą rzewnie, utuloną na jej kolanach niewiastę.

Austria zajęła 4ry oddziały, a Węgry 5ty. Pomiedzy 132 obrazami są dwa polskich malarzy. Wojciecha Kossaka portret marszałka Zyblikiewicza i Kozakiewicza „Żydzi polscy w synagodze.“

Zpośród wszystkich odznaczają się, bijąc w oczy świetnością kolorytu, delikatnością pędzla roboty Ma-karta. Jego „Kleopatra,“ przykładająca żmję do piersi, tonie w blasku pereł, drogich kamieni, jedwabów i kwiecica, tak prawdziwych, tak świetnych.

Piękna kobieta strojna kokietuje jeszcze ze śmiercią. Ani leżący u nóg jej trup, ani trzymany w delikatnych dłoniach gad nie budzą w niej przerażenia lub wstrętu, myśl jej zapewne zajęta była własnym obrazem po zgonie.

Obok wiszący portret rudej Wenecjanki posiada również wspaniałość barw, blasków stroju i ciała. — Pozostałych obrazów przedmioty są skromne: portrety, owoce, widoczki i niewielkie studia. — Za to sala, zajęta przez Węgrów, przytzymuje dłużej widzów. Pełno tu życia wokoło, zda się, że wszedłeś do izby pełnej ludzi żywych, ruszających się.

Oto wielkie płótno — „Sąd Boży“ Gyarfasa; obok wisi drukowana legenda, objaśniająca treść obrazu: W głębi na katafalku leżą zwłoki zabitego podstępnie i tajemnie królewicza. Dla wykrycia mordercy skrytego udano się do Sądu Bożego. Powołano wszystkich rycerzy, otaczających księcia, krewnych, sługi, rozkazując im z kolei przystępować do trupa zabitego, wierząc, że za zbliżeniem się zabójcy z rany krew popłynie, jako znak. Już stoją liczne wokoło tłumy, które odbyły próbę, na ostatek przeprowadzono młodą i piękną dziewczę, kochankę nieboszczyka. O zgrozo! Krew ukazała się w ranie... Oto zabójczyni! wołają świadkowie. — Przelekniona dziewczyna wznosi ręce ku niebu, przysięga, iż nie uczyniła tego, ale natychmiast zaczyna się śmiać, śpiewać, obłąkana zbiega ze wschodów.

Munkaczy dał „Rekrutowanie.“ Życia tu pełno, hałas, gwar zda się słyszeć nawet. Dalej Michała Zichy „Skutki wina,“ obraz pełen postaci ruchliwych. Ludzie upojeni winem spełniają rzeczy niemądre, niebudujące. Kilka luźnych scen składa się na jeden temat. V gnera „Mazepa,“ przywiązany do konia, wśród burzawowstepu tarzany. — Nakoniec rzewne budzi uczucia Jana Walentyny „Ostatnie życzenie.“ Umierający muzyk każe sobie grać jakimś obdartemu, rozartaganemu chłopakowi na skrzypcach ulubione pieśni, chcąc skonać przy ich dźwięku. Druga para skrzypiec wisi nad jego łóżkiem. Zdaje się, że to typy cygańskie. Portrety węgierskie odznaczają się życiem pełniejszym, naród to niewymuskany, układny, ale pełen werwy, nie dziw, że i malarstwo jego nosi podobną cechę.

Oddział norwegijski składa się z samych pejzaży prawie. Wiele tam wody, gór, lasów i rybaków. Jest scena z życia górników. Cały ten świat północy wypowiada się w języku plastycznym, prosty, naturalny, nienaprzęzony sztucznie. Ziemia piękna, malownicza, lud cichy i pracowity, oto wszystko.

Oddział szwedzki mniej jest charakterystyczny. Mięszanina historycznych i rodzajowych obrazów, pejzaży także nie brakuje. Norgyrena „Noc księżycowa“ jest precudną robotą: woda i księżyc odbity w wodzie, koloryt zachwycający prawdą. — Wielki obraz historyczny Karola Gustawa Hellquista przedstawia ustęp z dziejów miasta Wisby, na wyspie Gothland, z r. 1361. Waldemar IV-ty, król duński, najechawszy ten gród, kazał trzy wielkie beczki napelnić kosztownościami, jako wykup od zniszczenia ogniem i mieczem. Mężczyźni i kobiety znoszą różne przedmioty, złote i srebrne naczynia, stroje swoje, ze smutkiem przeczuwając, że to zubożenie zgubi ich misie.

Oddział holenderski, złożony z 41 sztuk, nie odznacza się wybitniejszymi talentami. Obrazy rodzajowe, widoki i portrety zapełniają salkę.

Włosi mało dostawili obrazów, a i tych treść niebogata. Żadne typy miejscowej ludności, widoki pięknego ich kraju, koloryt jakiś odrębny a uroczy wabią oczy, choć nie są tyle zasługą artystów, ile ziemi nawskroś artystycznej.

Są tutaj dwaj zakonnicy starzy, uosabiający gadulstwo

bezmysłne; jeden z nich uśmiechnięty do talerza z przysmakami.

Dania przysłała 50 okazów, i tu widzimy same obrazy rodzajowe lub widoki, tylko świat inny, typy inne, niebo i słońce inne. Koni i psów dużo. Widzimy także rybaków i ryby.

Oddział międzynarodowy zawiera kilka większych obrazów. Zpomiedzy polskich malarzy przysłali tu: Alchimowicz „Obronę Olsztyna.“ Szkoda że za małe płótno do wielkiego przedmiotu. Widać wiele wojska, na przodzie Kasper Karliński wydaje rozkaz strzelania do szturmujących wrogów; kobieta, zapewne żona, sprzeciwia się z błaganem temu, bo wśród prowadzonych do szturm widzi zakładników, a między nimi własne dziecko.

Gerymski dał obrazek p. n. „W altanie.“

Wojciech Piechowski „Toast weselny.“

Gerson „Zamordowanie Przemysława I-go“ przez margrafa Brandenburskiego w Rogoźnie.

Oto wszystko, co z Polski przybyło, bardzo to niewiele, biorąc na uwagę rozkwit sztuki malarskiej w naszym kraju. Przyczyna tego nie jest dokładnie wiadoma — podobno Polacy pragnęli mieć oddział własny, jak Węgrzy, gdy na to nie przystano, wstrzymali się od przeselek.

Państwo niemieckie zajęło pięć oddziałów; — rozmaitość wielka tematów, żadnej wyłączności charakterystycznej. Monachium dostarczyło największą liczbę obrazów, a wartość całego salonu podnosi wielkie płótno Pillotego: „Seni wobec zwłok Wallensteina.“ Świetność pędzla zdala wpada w oczy. Na dywanie jedwabnym, spuszczonego ze stołu, leży trup piękny, spokojnie położony, a przed nim stoi zamyślony ponuro, otulony czarnym płaszczem astrolog. Wszystkie szczegóły wykonane po mistrzowsku. — Widz wraz z Senim rozmyśla nad wielkością ludzką.

Są też widoki: Neapolu, weneckich kanałów, norweskich brzegów, jest i polska karczma zabłąkanego tańca. Jest też malarz, Józefa Brandta. Są i okolice niemieckie. Jest dużo zwierząt, owoców, jarzyn; jest portret Bismarka, popiersie Moltkego, ale jeden tylko znajduje się ustęp z wojny francusko-pruskiej, i to malowany przez Adama Franza, urodzonego w Medyolanie, a zamieszkałego w Monachium. Śnać, przejął się ten temat Niemcom.

Jest „Joanna d'Arc“ Gabryela Maxa z Monachium o twarzy naiwnego dziewczęcia, siedząca na stosie, ze spokojem gęsiarki na łące. Bohaterka francuska musiała umierać albo z zapalem św. męczenniczek chrześcijańskich, albo z rozpaczą biednego dziecka ludu, pragnącego uchronić się od męczarni w jakikolwiek sposób. — Nie wiem, dla czego stojąc przed płótnem wiedeńskim, miałam w myśli przed sobą twarz dziewczyny, płonącej w Świecznikach chrześcijańskich Siemiradzkiego.

Hiszpański salon jest mocno charakterystyczny. Skłonność do tragiki, jakiś ciemny koloryt, okrucieństwa w treści, brak zupełny obrazków rodzajowych; oto, co nam ten mało znany półwysep okazał.

„Obrona Numancyi przeciw oblegającym Rzymianom“ przez Aleksina Wera. Tłumy mężczyzn i kobiet, nie chcąc poddać się najeźdźcom żywi, zadają sobie śmierć własnoręcznie, jak w zamku Pullen w Margierze Syrokomli. — Trupy ludzkie, kałuże krwi, zgony w konwulsjach, wymierzone sztylety we własne serca, oto, czem raczy hojnie malarz hiszpański.

Tam „Joanna szalona“ małżonka Filipa Pięknego przez, Józefa Pradilla obudza tragiczne uczucia, stojąc przy trumnie męża.

Casado del Alisal José przesłał obraz następującej treści: „Król Aragonii, Ramiro, kazał ściąć głowy wielu szlachty, a ukazawszy je broczące się w krwi, groził takimiż gwałtem innym panom,“ mówi kronika.

Widzisz te głowy odcięte, leżące w kałuży krwi czarnej, a na schodach pałacu swego stoi okrutnik i grozi zgromadzonemu dokoła swym gniewem straszny. — Da-

lej są różne uroczystości religijne w Hiszpanii, są okolice kraju, typy miejscowe, jest Hiszpania cała.

W każdej z sal wyżej wymienionych, oprócz obrazów, znajdują się także rzeźby. Nie mogę o nich wiele powiedzieć, zbrakło mi czasu do przyjrzenia im się dokładnie. Jest tam Chrystus w grobie, są postaci mitologiczne, Ismael na puszczy, portrety różnych znakomitości.

Najwięcej wyrazu ma robota irlandzkiego rzeźbiarza Joy Alberta Bruce p. n. „Córka pastora“ („O Jesu, mein Heiland, was hab ich gethan!“) Matka wydaje ten okrzyk rozpacz, odwrócona, złamana boleścią, widok leżącego u stóp jej trupa niemowlęcia. Czy gołębica sama?

Z polskich rzeźbiarzy jedna tylko Jadwiga Lubieńska przysłała własny swój portret.

Aniela Milewska.

KRONIKA LITERACKĄ, BIBLIOGRAFIA I ROZMAITOŚCI.

— A. Wilczyński, autor „Kłopotów Starego Komentanta“ wydał w Warszawie: *Woły robocze*, obrazki z życia pocziwców. Nakł. Gebethnera i Wolffa 1882 r. — Przedstawia tu autor ludzi w pewnym rodzaju niedoległych, bez wszelkiej siły charakteru, dających się wiecznie powodować drugim, których wolę bezwiednie nieraz, jak owe woły robocze, wykonują ślepo i przyjmują bez oporu jakiekolwiek narzucane im obowiązki. Spotykamy tu zatem rodziców, oszukiwanych i zahukanych przez dzieci, zięciów wyzyskiwanych przez teściów, małżeństwa i rodzinę zwozdzące się wzajem. Chociaż wszystkie te „woły robocze“ zostając w jednych i tych samych stosunkach, są do siebie mniej więcej podobne, wprowadza jednak autor tyle rozmaitości w ich życie, że tym ich nie zdają się monotonią i każdy ma swoje właściwe cechy. Do zalet owych obrazków należy i to, że dla tych swoich biednych niedolegów umie autor z zwykłym talentem obrazu, w czytelniku pewną sympatya i współczucie, a żywa prawda i humor, tryskające z całego opowiadania, składają się choć nie na arcydzieło, to bez wątpienia na bardzo wdzięczne i zajmujące obrazki.

— We Lwowie wyszły *Lucyana Tatomira: „Ferye alpejskie“*, wspomnienia miejsc i ludzi, str. 297 — r. 1882, gdzie znajdujemy zajmujące opisy Tyrolu i Salzburga, zwyczajów i strojów krajowych. Zarzucają powyższemu dziełku pewną sielankowość i zbytek przeróżnych anegdotek lub wydarzeń, któremi opis jest przeplatany, my jednak innego jesteśmy zdania, uważając, iż *ferye alpejskie* niekoniecznie samą tylko naukę, ale i rozrywkę mogły mieć na celu, oraz obfitować w wypadki i przygody, dostarczyć sposobności spotkania rozmaitych osób, z którymi związane stosunki na długo źródłem wspomnienia zostają. Opis, obejmujący te rzeczy, zdaje się prawdziwszym i swobodniejszym, a czytelnik przenosi się myślą w miejsca wskazywane, uprzytomnia je sobie i przypomina to wszystko, co nasuwa ów błogi wyraz: wakacje.

— Józefa Dunina Karwickiego *Szkiłowe i historyczne*. Warszawa 18

Nazwa szkiców obyczajowych słusznie, a nie historycznych, bo życie to jest przedmiotem dostrzegania, lecz rzeczy historyczne są tu jedynie odślanianą się nie nowego, nie dają nowych faktów przeszłości naszej. Najwięcej o Tadeuszu Czackim i o szkołach krakowskich, rzecz opracowana sumiennie i charakterystycznie, pamiątkowe dzieło p. Karwickiego ma miejsce, ale wspaniały i upoważnia z drugiej strony do surowej krytyki.

— Z Paryża piszą, że tam polskie książki w rodzaju dawnych

La Rochefoucauld i La Bruyère, t. j. zbiory myśli i gnomów, czytane przez ogół, nagradzane przez akademię. Nowy, a dziwny to objaw w literaturze francuskiej z drugiej połowy XIX wieku! Ludwik Depret napisał zatem już dawniej: *Comme nous sommes*, a świeżo znowu: *Le voyage de la vie*. Forma tych rzeczy jest wdzięczna, czasem nieco dowcipna i satyryczna, ale prawdy psychiczne górują tam zawsze.

Gawalewicz Maryan: Na estradzie, scena humorystyczna bez odsłony, oryginalnie napisana: — Ach! *ma vie*, wolny przekład z E. Gondinet'a (Ah! monsieur.) Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, druk J. Ungra, 1882 r. w 16-ce, str. 32 — 30 kop.

Karasowski Maurycy. Fryderyk Chopin, życie, listy, dzieła, tom I i II. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, Kraków, druk Wł. Anczyca i Sp. 1882 r. w 8-ce, str. 260 i 273 — cena trzy ruble.

Kraszewski J. I. Na tulaństwie, obrazy współczesne, trzy tomy w jednym. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, druk Wieku 1882 w 8-ce małej, str. 178, 178 i 184, cena 1 rub. 50 kop. — **Pułkownikówna**, historia prawdziwa z czasów saskich, tom I i II. Warszawa, nakł. M. Orgelbranda synów, 1882 r. w 8-ce małej, str. 165 i 165, cena 2 ruble.

* * *

— **Obok** wszystkich wiadomości, podawanych w piśmiech o Balzaku i pozostałej po nim, a świeżo zmarłej żonie, Polce rodem, Figaro w jednym z ostatnich numerów czerwcowych zamieszcza nader smutne i tragiczne szczegóły o upadku znacznego niegdyś majątku pani Balzak i córki jej, p. Mniszchowej.

Zapalone zamięłowanie tej ostatniej do gromadzenia dzieł sztuki obok nieopamiętanej nierozwagi w szafowaniu pieniędzmi ponad możność doprowadziły do tak opłakanych stosunków, iż żona znakomitego pisarza przeżyła ostatnie swe lata w ciężkiem cierpieniu i prawie całkiem od ludzi usunięta. Wierzyteli tylko przez wzgląd na nią czekali jej zgonu, by swoich pretensyi dochodzić. W chwilę zaś jej śmierci, nazajutrz pogrzebu, rzucili się na stary zamek, zwany „*maison mystérieuse*,” dla pustelniczego życia mieszkańców jego pod ostatnie lata — i strasznego wandalizmu przedstawił widok. Każdy zabierał, co chciał; strzynię papierów po śp. Balzaku, najcenniejszą bibliotekę wartości piętnastu tysięcy franków wzięto za pięćset franków. Aż gdy już wszystkie wspaniałe pamiątki i sprzęty poznikały pod aneksją wierzyteli — nieproszeni sąsiedzi Balzaków zajrzeli, nie bez chęci łupu do pustych pokoi. Nie zastawszy w nich nic, prócz papierów po zmarłym pisarzu, sięgnęli po nie bez skrupułu, co się komu podobało. Resztę zaś, jeżeli wieściom wierzyć można, p. Mniszech widocznie niewielbicielka pism swego ojczyma, w ogień wrzucić podobno kazała.

Ten ostatni wypadek łączy żalowi świata literackiemu wyściska. Pomiędzy rozebranymi papierami były szkice do powieści Balzaka, który miał ten oryginalny sposób pisanie, że osnuł sobie główną treść romansu, jaki mu na myśl przyszedł, i kończył go dopiero po kilku latach. Po większej części szkice te odnajdują się z korzyścią nieprawych ich właścicieli, którzy sobie dobrze płacić za nie kaza. Lecz przedmiotem największego żalu wydawców, są listy Balzaka do późniejszej żony jego, pani Hauke. Kilkoletnia ta poufna i codzienna korespondencja zawierać miała cenne wspomnienia z dziejów i polityki, charakterystyczne a ciekawe szczegóły o ludziach, udział w nich biorących. Jest obawa, czy płomień właśnie tych skarbów nie pochłonęły, jakkolwiek z niektórych dawniejszych wydarzeń wolno przypuszczać, że one u któregoś z przyjaciół zmarłego spoczywają.

Na dwa lata przed prusko-francuską wojną p. Levy, wydawca, ułożył się o pomienione listy z panią Balzak, chcąc je wydać w dalszym ciągu dzieł jej męża. Gdy się atoli po nie zgłosił, wymówiła się, że je zostawiła w zamku

swym, Beauregard, zburzonym przez Prusaków, którzy je prawdopodobnie spalili, lub zabrali. — Niektóre poszlaki pozwalają wątpić o prawdziwości słów p. Balzak, przypuszczają zatem, że tylko surowy i bezwzględny sąd jej męża o niektórych osobistościach nie pozwalał na publikację listów za życia pisarza. — Na tem przypuszczeniu oparte są nadzieje wydawców, iż się listy owe wynajdą.

— **P. Adryanna Zabierzyna**, rodaczka nasza, wydała w Paryżu kalendarzyk, z którego dowiadujemy się o wszystkich instytucjach polskich w stolicy Francji. Jest ich 16 w ogóle, a mianowicie:

1 Towarzystwo dobroczynności pań polskich z przewodniczącą Izą z ks. Czartoryskich hr. Działyńską. Udziela ono bezpłatną pomoc lekarską i lekarstwa, a także wydaje bilety na chleb i mięso. 2 Dom św. Kazimierza z prezesem ks. Władysław Czartoryskim, gdzie 30 starców znajduje utrzymanie, a 75 dziewcząt pobiera nauki. 3 W Ivry jest filia tegoż zakładu dla chłopców. 4 Instytucja czci i chleba, o której donosiliśmy już w Dwutygodniku. 5 Towarzystwo pomocy naukowej. 6 Towarzystwo nauk ścisłych, którego dobroczyncą był śp. Jan hr. Działyński, dla tego dzisiaj interesa towarzystwa nieświatne. 7 Szkoła polska Batignolles. 8 Instytut panien polskich na koscie Izy hr. Działyńskiej. 9 Czytelnia polska. 10 Towarzystwo fisharmiczne. 11 Towarzystwo dawnych uczniów szkoły Batignolles. 12 Takież dawnych uczennic instytutu panien. 13 Towarzystwo robotników polskich. 14 Księgarnia polska Władysława Mickiewicza, syna poety. 15 Drukarnia p. Zabierzyny. A wreszcie policzyć tu wypada 16 Kościół polski pod zarządem czcigodnego ks. Władysława Witkowskiego.

— **Hiszpania**, która niedawno uczciła pamięć wielkiego swego dramaturga, Kalderona, obchodzi znowu jubileusz najznakomitszego malarza swojego, Murilla. Uroczystości rozpoczęły się już 19 maja b. r. w Sewilli, miejscu jego urodzenia, a urodził się r. 1618. Od młodości lat okazywał zdolności artystyczne, najpierwsze też obrazy jego miały już rozgłos i były kupowane. W Madrycie poznał się z sławnym Velasquezem, który się zapiekiwał młodzieńcem, tak, że ten wróciwszy po kilku latach do Sewilli, zdumiewał nawet znawców. Malował głównie dla klasztoru św. Franciszka, dla kościoła św. Jerzego i dla Kapucynów. Umarł r. 1682. Murillo był przede wszystkim malarzem religijnym, przedmioty religijne porywał go, lecz obok tego był także rodzajowym malarzem. Wszystkie utwory jego odznaczają się nie tylko piękną formą, ale i duchową jakąś pięknoscią, przemawiają zarówno do oka, jak i do duszy. Oświetlenie jest wszędzie wyborne, koloryt jasny i pełen życia, a nawet niektórzy zarzucają mu pewną realność. Obrazy Murilla znajdują się we wszystkich galeriach. Ameryka posiada je także, najwięcej naturalnie Hiszpania, mianowicie Sewilla. Paryżki Luwr posiada sławne „Niepokalane Poczęcie,” galeria londyńska: „Przenajświętszą Rodzinę,” Peszt: „Madonnę z chlebem,” Berlin: „św. Antoniego Padewskiego” i „Pokutującą Magdalene,” Drezno: „św. Roderyka” i „Madonnę z dzieciątkiem,” Stanisław August miał niegdyś „Pastuszków” i „Kwiciarkę,” ale nie wiemy, gdzie się one obecnie znajdują, zapewne w prywatnych rękach, bo i u amatorów spotykać można arcydzieła hiszpańskiego malarza.

Jedno z pism warszawskich wyraziło się niesłusznie, że kraj nasz nie posiada ich wcale, gdyż pominąwszy zbiory prywatne, w naszej galerii poznańskiej mamy dwa obrazy Murilla: św. Franciszka w habitach i Portret mężczyzny, przedziwnej piękności. Z rodzajowych obrazów Murilla najwięcej sławy mają: „Ulicznicy,” dwa obrazy pełne życia, mówiące, pełne prawdy realnej, ale nie naturalizmu, jak go widzimy np. u Makarta. Pan A. Pawiński w swoich Listach z Hiszpanii podaje niektóre ciekawe szczegóły o Murilla.

PODRÓŻ OKOŁO ŚWIATA NA YACHTIE SUNBEAM

czyli

ROK ŻYCIA FAMILIJNEGO NA MORZU

przez

PANIA BRASSEY.

Tłumaczenie z języka angielskiego w wyjątkach.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Santiago i Valparaiso.

Czwartek 26 października. Najpierw udaliśmy się do Compania, szerokiego, otwartego miejsca, zapelnionego kwiatami. Dawniej stał tu kościół Jezuicki, spalony 8 grudnia 1863. Opisy tego pożaru znane są w Europie, lecz że na miejscu zebrałam pewniejsze szczegóły, śmiem je powtórzyć czytelnikom moim. Było to w święto Matki Boskiej, kościół napełnił się parafianami, przeważnie kobietami, z których po większej części były młode dziewczyny służebne. W czasie nabożeństwa draperie, służące do ozdoby, zapaliły się, a płomień rozszerzył się gwałtownie. Między innymi zajęły się sznury, na których wzdłuż i wszerz zawieszane były lampki olejne i parafinowe, te też gradem ognistym spadły na kobiety klęczące w środkowej nawie. Główne drzwi żelazne zamykały się na wewnątrz; tłum, cisnący się ku nim, zacisnął je i nikt nie był dość silny, aby powstrzymać prąd pchających się i otworzyć je na rozciecz.

Opowiadano nam, że między 7 a 8 wieczorem ktoś w mieście pierwszy dojrzał dym wydostający się z wnętrza kościoła. Coprędzej zaraz z przyjaciółmi swoim pobiegł na ratunek i zastali kościół zamknięty, a dym i jęki ze wszech stron wydobywały się straszne. Co prędzej zawezwali ludzi, umiających chodzić po linie (tutaj wszyscy w to wprawni) i z pomocą tychże wdrapali się na wierzchołek kościoła, a porobiwszy dziury w dachu, spuścili liny do wnętrza, aby choć w ten sposób dopomódz nieszczęśliwym ofiarom. Pomoc ta okazała się bezowocną. Zrozpaczone ofiary tak tłumnie uwieszały się u liny, tak bezlitośnie chwyciły za ręce i nogi tych, co się pierwsi zawiesili, że porozszarpały ich w kawałki i porozrywały nawet liny, napowrót wpadały w płomień; trzeba wiedzieć, jakie ciężary może lina utrzymać, aby mieć wyobrażenie, ile kobiet naraz zawieszało się na nich. Następnego ranku wewnątrz kościoła przedstawiało przerażający widok. Mnóstwo kobiet stało jeszcze przyciśniętych jedna na drugiej, z rękoma złożonymi, jak do modlitwy, większa jednakże część nie miała już głowy i rąk; spalone do talii, niższe części miały nietknięte od płomieni. Szczątki ich złożono w jednym grobie na cmentarzu Recoleta. Ogromna ta mogiła, otoczona żelazną kratą, okryta pnąciami roślinami, wznosi się w cieniu wierzb, pomarańczy, cyprysów i granatów. W pośrodku stoi krzyż, a na zewnętrznej stronie wsparta o kratę marmurowa tablica z napisem:

„Spaleni w kościele
Compania

8 grudnia 1863.

Liczba nieszczęśliwych
dochodzi do
2,000 ofiar.“

W dniu tym okropnym każda rodzina z Santiago straciła kogoś z ukochanych.

Kościół nacechowany tak straszną przeszłością nigdy już nie został odbudowanym, na jego miejscu posadzono kwiaty, wśród których wznosi się wspaniały pomnik.

W towarzystwie sześciu pionierów objechaliśmy całą posiadłość, a miejscowość ta urocza na chyba tę jedyną wadę, że jest za obszerną. Mówiono nam, że właścicielka

chce jeszcze rozszerzyć park w głąb gór, a byłoby to rzeczywiście szkoda, gdyż i tak jest on za wielki, aby go utrzymać w porządku, pomimo że pracuje w nim 1,020 ludzi. Kwiaty rosną tu w każdym zakątku i nawet pola rozdzielane są szerokimi płotami wonnych róż różowych.

27 października. Z rana wybrałam się na rynek. Przeszedłszy kilka ulic, weszliśmy do obszernej hali, zbudowanej ze żelaza częściowo przywiezionego z Anglii. W niej zastaliśmy stoły pozastawiane doskonałą kawą, posmarowanym chlebem i gotowanym bobem. Zakupić tu było można najpiękniejsze mięso, ryby, warzywa, owoce, kwiaty, francuzki bób, poziomki, wszystko poukładane w koszach.

Następnie udaliśmy się do katedry katolickiej, w której naówczas odprawiała się Msza uroczysta. Piękny ten gmach jaśniał tysiącem świec, a światło padało na klęczące kobiety czarno ubrane, z czarnymi zasłonami na głowie. Ściany świątyni złocisto pomalowane tworzyły przeciwstawienie z czarno osłoniętymi kobietami, a jeżeli zdawały się piękne, to z blizka zbyt były jaskrawe. Wspaniałe organy wydawały harmonijne tony.

Wychodząc z domu, nie zamierzałam pójść do kościoła katolickiego, to też dopiero, gdy tam zaczęto ciekawie patrzeć na mnie, spostrzegłam, że miałam na głowie kapelusz w miejsce zasłony, a choć tenże nie miał nic rażącego, przepisy kościelne, zniewoliły mnie do pozostania w najciemniejszym zakątku.

Kobiety miejscowe młode prawie wszystkie są piękne. Osłonięte w mantos, z niezrównanym wdziękiem przechodzą ulicę w obcisłych, czarnych sukniach.

Wieczorem byliśmy w teatrze na Sonnambuli, dobrze wykonanej przez włoskich śpiewaków. Teatr tam pomimo że trochę nadto przyozdobiony, dobrze wygląda; łoże ma urządzone dogodnie, i chociaż tylne rzędy nie są podniesione, wszyscy widzą jak najlepiej.

28 października. Zajechaliliśmy do Valparaiso.

Miasto składa się prawie całe z dwóch szaleńczo długich ulic, ciągnących się wzdłuż brzegu morskiego u stóp gór, na których bogatsi mieszkańcy pobudowali sobie rezydencje i wille. Bardzo mało kto mieszka w mieście, wyłącznie prawie złożonem z szerokich magazynów i pięknych sklepów. Wszystko na świecie dostać tu można, lecz trzeba opłacać dwa lub trzy razy drożej, jak w Anglii. Spuszczenie włosów kosztuje 1½ dolara, najwyczejniejszy kawał papieru 4 szelingi.

Niedziela 29. Wszyscy wysiedliśmy na ląd, by pójść do kościoła, który jest obszerny, chłodny, wietrzny, posiada dobre organy i dobrych śpiewaków. Trzęsienie ziemi musi tu często się powtarzać, skoro jest zwyczajem na zakończenie nabożeństwa odmawiać modlitwę, aby Bóg lud swój zachował od tej plagi.

Poniedziałek 30 października. Mieliliśmy odpłynąć.

Stósownie do powziętego planu mieliśmy drogę naszą skierować ku wyspom Towaryskim, Przyjacielskim i Sandwich. Juan Fernandez, czyli wyspę Robinsona Crusoe, postanowiliśmy ominąć dla tego, że leży na południe, kiedy my stosując się do raz obranego kierunku, mieliśmy posuwać się 500 mil na północ wschód.

Wyspa Juan Fernandez należy obecnie do państwa Chili, ale w wieczystej dzierżawie ma ją jakiś ktoś, który podług ogólnego twierdzenia nie jest kim innym, jak bandytą. Pan ten był właśnie w Valparaiso i pragnął koniecznie, abyśmy go zabrali i odwieźli do jego państwa. Wzamian obiecywał nam najpiękniejsze łowy na kozy, turkawki, ryby i raki, ale Tom nie dał się namówić tem więcej, że ludzie, którzy dłużej bawili na tej wyspie, zapewniali nas, że zupełnie nie ma po co jeździć. W Valparaiso są i księgarnie dobrze zapatrzone i sklepy zachęcające i fryzjerzy francuzcy, lecz wszystko po niezrównanych cenach. Za list do Anglii trzeba płacić 9 do 10 funt szt. Do listów, frankowanych już w Anglii, musieliśmy dopłacić

po 8 f. sztr. Za dwadzieścia dwie skrzynie, doszłe nas z winem, żywnością i innymi potrzebami, stosunkowo zapłaciśmy bardzo mało.

22 grudnia. O 6-tej z rana dojrzeliliśmy wyspę Hawaii wprost pod wiatr. Silny prąd zepchnął nas na 18 mil z obranej drogi, wewnątrz wyspy wśród mgły całkiem było niewidzialne i tylko na jej brzegach widać było ruch i życie. Czas dłuższy płynęliśmy wzdłuż brzegu, aż około 2-iej zbliżyliśmy się do zatoki Hilo. W odpowiedzi na nasze wezwanie o pomoc nadbrzeżną przypłynął po nas krajowiec, znający wejście do portu. Lecz był to tylko zastępca rzeczywistego sternika, który bez względu na przybywających bawił w Honolulu.

Po południu niebo się wyjaśniło, góry Mauna Kea i Mauna Loa ukazały się od stóp do szczytu. Ich olbrzymie wierzchołki wznosiły się na 14,000 stóp po nad naszymi głowami. Okryte były drzewami, wśród których ukrywały się paprocie i liczne strumyki. Tego południa powietrze było jak najlepsze, gdyśmy wylądowali, wysłano natychmiast konnego posłańca z uwiadomieniem mieszkańców „domu na pół drogi“ i domu „pod wulkanem“, aby dnia następnego czekali na nas. Było to nieodzownem, gdyż ludzie ci nawykli do bardzo rzadkich gości i to przybywających raz na miesiąc statkiem z Honolulu, mogli więc nie być w domu. Przechodziliśmy wśród czystych domków i ślicznych ogródków, ciągnących się aż do głównego mostu, zarzuconego na szerokiej rzece. Towarzyszyły nam tłumy dziewcząt, postrojonych w wieńce z kwiatów i w długie, powłoczyste suknie podobne do tych, jakie noszą w Tahiti. Zdaje się, że kobiety tutaj są mniej gustują w jaskrawych barwach, gdyż przeważnie widziany tu kolor jest fiołkowy. Gdy zatrzymałam się na chwilę, by popatrzeć na jaki widok, wesołe dziewczęta korzystały, aby mi zarzucić przez głowę wieńce z kwiatów i kolorów, tak że przed końcem naszej wycieczki miałam ich ze dwanaście wszelkich kształtów i kolorów, a choć takowe ciążyły mi trochę, nie śmiałam ich zrzucić, by nie obrazić uprzejmych wyspiarzy.

23 grudnia. Chcąc urządzić wyprawę, złożoną z niemałej liczby osób potrzeba było dość dużo czasu, to też dopiero o pół do 9-tej wyruszyliśmy z miejsca. Najpierw przejeżdżaliśmy nizinę, okrytą szkarłatnymi liliami, ocienioną drzewem kokosowym, dzielącą miasto od brzegu morza. W oddaleniu Hilo wygląda zielono, jak wyspa szmaragdowa, lecz przypatrzwszy się jej bliżej, nie trudno dojrzeć, że trawa gdzie niegdzie wyschnięta i dużo drzew zwiedłych na pół martwych. Wyjawszy w załomach i wąwozach, wyspa ta cała jest pokryta żużlami, gdzie niegdzie tak grubo wyrzuconemi, że nie staje czasu, aby się przerobiły w ziemię, zdolną do plonu. Rośliny rozrastają się tu szybko, lecz umierają, gdy ich korzenie przedostają się do lawy, i najsilniejsze drzewa marnieją po niedługim czasie. Krajobrazowi miejscowemu wiele dodaje wdzięku drzewo ohia. Silne, rozłożyste, konary ma okryte gęstym liściem i jasno karmazynowym kwiatem. Owoc, małe, różowe, woskowate jabłka, są kwaskowe, lecz smaczne. Orzechy kokosowe dochodzą tu do nieznanych rozmiarów, a jasno zielony liść i biały kwiat dodaje im dużo wdzięku. Szkoda tylko, że większa część liści niszczeje od czarnej kurzawy, nie takiej, jak się widzi na drzewach wyrastających wśród ulic miejskich, lecz czemś tak czarnem, że nie umiałabym powiedzieć, czy to pył z niedaleko dymiącego wulkanu, czy też pleśń lub grzyb.

Przejechawszy 10 mil pod gorącymi promieniami słońca, dostaliśmy się do puszczy czysto zwrotnikowej. Wprawdzie las ten nie jest tak bogaty w rozmaitość roślin, jak lasy Brazylii lub wysp mórz południowych, lecz posiada

najrozmaitsze paprocie i wiele pięknych drzew, opłatanych najrozmaitszemi, pnąciami roślinami, wśród których najczęściej odróżniają się niebieskie i fiołkowe powoje i wspaniała męczennica. Zastłona z liści, chroniąca nas od promieni słonecznych, nader była pożądana, lecz wśród gęstwiny brak powietrza tak nam dokuczył, że po pięciu milowej jeździe wśród zarośli z radością powitaliśmy otwarte pole. Odtąd zaczęła się droga po lawie wśród pustyni, urozmaiconej gdzie niegdzie kępą roślin, wyrastających w jakim osłoniętym gór załomie. Morze ukazywało nam się bardzo często barwą swą tak zbliżoną do nieba, że gdyby nie fale, rzucające pianę o kokosowe drzewa, trudno byłoby odróżnić morską powierzchnię od niebios sklepienia.

Zatrzymaliśmy się chwilę u pewnego krajowca, gdzie tłum ludu wyrabiał tapa czy kapa, rodzaj materyi z kory drzewa papierowego czy morwowego. Stąd do „domu na pół drogi“ nadzwyczaj było blisko, to też dostawszy się tamże, z przyjemnością zsiadliśmy z koni i spoczęli na kamiennych ławkach ganku. Na nasz widok mężczyzna dobrze wyglądający czempredziej wziął się do usmażenia beefsteaków i kurcząt, a wkrótce potem ujrzeliliśmy przed sobą doskonale przyrządzone mięsne śniadanie z dodatkiem bardzo lekkiej herbaty. Pani domu, którego jedynem bogactwem były pięknie wyrobione maty i czysto usłane łóżka, pokazała nam materyą tapa i piękny żółty „lei“ czyli naszyjnik z piór, wykonany przez nią. Materyą wraz z wałeczkami i przyrządami, koniecznymi do jej wyrobienia, chętnie chciała nam sprzedać, ale nic w świecie nie mogło jej skłonić do oddania nam naszyjnika. Był to pierwszy jej roboty, a jak mi potem mówiono, przesąd miejscowy nie pozwala kobietom jakiegobądź pierwszej pracy oddać w obce ręce.

Łamigłówka kryształowa.

Sylaby:

a, ą, as, da, dam, dan, dra, k, kle, ko, miesz, mens, nyk, ę, rós, te, wa.

Wyjaśnienie.

1. spółnik — 2. rodzaj poezyi — 3. rzeka — 4. imię mężkie — 5. imię i nazwisko poety polskiego — 6. król polski — 7. poeta włoski — 8. zwierzę — 9. litera.

Nr. 5-ty na krzyż ma się czytać.

Rozwiązanie łamigłówki w nr. 20.

1. Joab — 2. Upita — 3. Leleweł — 4. Joel — 5. Unia — 6. Stratford — 7. Złoty — 8. Stephenson — 9. Łaba — 10. Ostracyzm — 11. Walhala — 12. Alceusz — 13. Chóćieszewice — 14. Krup — 15. Ixora.

Juliusz Słowacki — Balladyna, Mazepa.

Rozwiązały najpierwsze i otrzymały nagrody panie: Kornelia Grabska w Poznaniu, Helena Potocka w Będlewie.

Dalej rozwiązały panie: Teodora Duszyńska w Pile, Joanna i Amelia Graeve w Borku, Zuzanna Ulatowska w Trzciance, Alexandra Zakrzewska w Linowcu, Anna Chłapowska w Kudowie — Felicja Kobierzycka w Witowie — Helena Werczyńska, Jadwiga Marcinkowska, Anna Jasielska, Aniela Łyskowska w Poznaniu; — panowie: M. Biesiekierski w Inowrocławiu, Józef Daszkiewicz w Olszowie, Henryk Mittelstaedt w Linowcu — Leon Siewicz, Witold Brodnicki w Poznaniu.

Treść: Artykuł wstępny: Głos z Warszawy przez Amelię C. (Dokończenie.) — Placz ze mną, wiersz p. Maryą Szuman. — Poezja i malarstwo, skreślił K. Faleński. (D. n.) — Bracia cioteczni. powieść, przekład z języka włoskiego. (Ciąg dalszy.) — Z Wiednia, przez Anielę Milewską. — Kronika literacka, bibliograficzna i rozmaitości. — Podróż około świata na Yachcie Sunbeam czyli rok życia rodzinnego na morzu przez Panią Brassey. Tłumaczenie z angielskiego w wyjątkach. (Ciąg dalszy.) — Łamigłówka. — Rozwiązanie łamigłówki w nr. 20.

Za nakład i redakcją odpowiedzialna Teresa Radońska w Poznaniu. — Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Lebiński) w Poznaniu.